Nr. 57. Lwów. — Piątek dnia 9 marca. Rok 1888.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inaczej się nie przyjmuje.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej. L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują Trafika J. Waśnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 3. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 6. — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Zakładu Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Franciszki Panny. Jutro: 40 Męczenników. | Adres Redakcji i Administracji Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 6 m. 25·0 Zachód „ 5 „ 54·0 | Długość dnia g. 11 m. 29·0 Przybyło dnia 4·0 min.

Przegląd polityczny.

Z Berlina nadchodzą bardzo poważne wiadomości. *Reichsanzeiger*, urzędowy organ cesarstwa niemieckiego, ogłasza biuletyn, w którym między wierszami przeczytać można zapowiedź rychłego zgonu cesarza Niemiec. Może więc jeszcze dzisiaj, a może jutro, w każdym razie temi dniami skona Monarcha, któremu dziwne zrządzenie losu włożyło na skronie cesarską koronę. I komu się ona dostanie? Syn jego dogorywa w San Remo, a wnuk, uczeń Bismarka i wyznawca jego zasad, stanąć niebawem może na czele państwa, którego składowe części dotąd się nie zrosły, w którem separatystyczne dążności, tłumione żelazną ręką pruskiego rządu, gotowe są w każdej chwili wybuchnąć z całą siłą.

Zważmy bowiem, że księcia Wilhelma nie lubią na dworach niemieckich, nadto, że nie ma on sympatji u narodu. Jest on popularnym jedynie wśród ultrasów protestanckich i to tylko w Prusiech. I obejmie on rejencyjne rządy w chwili, gdy lud niemiecki opłakiwać będzie zgon ubóstwianego cesarza (bo cesarza Wilhelma ogromnie Niemcy kochali), a modły zasyłać będzie do Boga, aby dał zdrowie również bardzo popularnemu księciu Fryderykowi. W takiej chwili stanie na czele państwa niepopularny i nielubiany książę Wilhelm i pocznie z Bismarkiem, swym ideałem i mistrzem, rządzić cesarstwem.

A tu dokoła gromadzą się chmury na horyzoncie politycznym. Sprawa bułgarska zaostrzona, Rosja stojąca w przededniu bankructwa finansowego, we Francji rozbudzone namiętności, ekonomiczne przesilenie w całej Europie. W innych czasach i warunkach dość byłoby jednej z tych spraw, aby zaniepokoić umysły i trwogą napełnić serca; dziś wszystkie skupione razem, mają otworzyć puszkę Pandory i cały legjon nieszczęść rzucić na Europę.

Miesiąc temu, kiedy rozmawiano w Wiedniu w pewnem towarzystwie, złożonem z mężów politycznych, stojących przy wielkim ołtarzu — o teraźniejszej sytuacji, rzekł jeden z nich, wytrawny znawca stosunków europejskich, że jakkolwiek długowieczność cesarza Wilhelma naraziła Europę na ogromne polityczne i materjalne straty, to przecież w dzisiejszych warunkach należy sobie życzyć, aby on jeszcze żył jak najdłużej, bo ten hamulec, który dotąd wszystkie ruchy Europy krępował, dzisiaj, w chwili naprawdę bardzo groźnej, może okazać się w samej rzeczy nader pożytecznym. Nad zdaniem tem wywiązała się długa dyskusja i w końcu wszyscy ci mężowie przyszli do przekonania, że naprawdę byłoby lepiej, gdyby cesarz Wilhelm zdołał jeszcze rok pożyć. Tymczasem życzenie to nie spełniło się, a raczej nadchodzące wiadomości z Berlina grożą, że się nie spełni. Pierwej niż przewidywano, a o wiele pierwej niż sobie tego mógł ktokolwiek życzyć, zostanie ster niemieckiego cesarstwa oddany w ręce młodego księcia, którego radę przyboczną zdołano zaledwie przed trzema dniami utworzyć z takich czarnych duchów, jak Gneist naprzykład.

Europa wchodzi tedy w okres dziejów, w którym Bismark nie będzie miał hamulca. Rozpocznie się więc gra straszna, gra, w której siła będzie szła przed prawem bez żadnej żenady, bez uciekania się nawet do sofizmatów, mających prawo udawać.

Z powodu wspomnianych przez nas onegdaj budżetowych rozpraw w sejmie pruskim, podczas których przemawiali polscy deputowani, prasa berlińska już była wyjechała na harce przeciw całemu naszemu narodowi; ale wtem, ze szwajcarskiego zapiecka, odezwał się głos szyderski o księciu Bismarku, więc o nas zapomniawszy, w tamtą stronę rzuciła się cała nienawiść gadzinowej prasy — i hej-że na Helwetów!

Rzecz tak się miała. Pierwszorzędny organ szwajcarskiej publicystyki, berneński dziennik *Bund*, urzędowe pismo związkowego rządu Szwajcarji, nie może od paru tygodni strawić tego, że Niemcy założyli w Zurychu i Szafhuzie gniazda agentów-prowokatorów. Dogryza więc państwu „dobrych obyczajów“ okrutnie, po kolei wynicował wszystkich mędrców berlińskich, Hartmanna, Pindtera, Gosslera i wreszcie wziął się do samego Bismarka. Z jego ostatniej wielkiej mowy wyjął frazes: „My, Niemcy, boimy się tylko Boga i nikogo więcej“ i napisał tak:

„To nie Marcel z „Hugenotów“ Meyerbeera śpiewa taką arję na operowej scenie, to ks. Bismark wygłasza takie banalności przed forum parlamentu. Widocznie starzeje się ten znakomity dyplomata! Niektóre jego pociągnięcia na szachownicy politycznej bywają jeszcze świetne, ale frazesy tego rodzaju dowodzą, że chromać zaczyna w nim bismarkowski duch. Bo cóż znaczy ten frazes? Dobry on w ustach pierwszego lepszego ludowego trybuna; gdy pod wpływem rozmarzenia nabrzmieje mu grzebień narodowej pychy i gdy ten trybun, stanąwszy na beczce, prawić pocznie do licznego grona także rozmarzonych obywateli, wtedy ów frazes nie będzie głupszym od innych. Ale frazes ten w ustach męża stanu, wymówiony z trybuny, nie z beczki, i w parlamencie, nie zaś w piwnicy... darujcie! A potem jeszcze ten frazes: „Wojny nie chcemy, ale jeśli nas kto zaczepi, wnet zapłonie *furor teutonicus* i biada tym, co się z nim spotkać ośmielą!“ Wszak to także arja z heroicznej opery, albo frazes z beczkowej mowy. Różne narody miewały już do czynienia z tym *furor teutonicus* i zdarzało się, że na miazgę go ścierały. Jeśli istotnie Niemcy boją się tylko Boga, to niechże wystrzegają się takich frazesów, z któremi bohaterom bardzo szpetnie do twarzy. Nietylko szpetnie, ale one nasuwają jeszcze myśl, że istnieje obawa nie przed samym jeno Bogiem i dlatego trzeba nadrabiać miną tak lichemi przechwałkami.“

Widzimy tedy, że Szwajcar, nie żaden „notoryczny“ *Reichsfeind*, ostrym zgrzebłem przeciągnął po drażliwej skórze niemieckiej. Więc żachnięto się w Berlinie i *Norddeutscherka* krzyknęła, że takie występy szwajcarskiego urzędowego organu prosto zmierzają do zerwania stosunków, a *Post* w świętoszkowskiem oburzeniu pisze: „Przemagamy wszystkie względy i cytujemy wyrazy szwajcarskiego dziennika, aby wiedzieli nasi współobywatele, jakie to uczucia ożywiają w tej dobie Szwajcarów i czego się od nich możemy spodziewać w chwili, gdy żywotne sprawy Niemiec rozgrywać się będą.“

Po co to włazić aż na takiego dromadera? Co innego uczucia Szwajcarów dla Niemiec, a co innego krytyka mowy bismarkowskiej. Zresztą rozumiemy gniew prasy berlińskiej na *Bunda*. Bo jakże można było oderwać ją od tak miłego zajęcia, do którego już z amatorstwem zakasywała rękawa, — od szkalowania Polaków!...

Niedawno urządzono w Paryżu okazałą manifestację rosyjskiemu ambasadorowi. Redaktor bonapartystowskiego dziennika *La Patrie*, protegującego z dawna przymierze franko-rosyjskie, p. Eugenjusz Guyon, dał wieczór muzykalny, połączony z kostiumową zabawą. Na ten wieczór przybył p. Mohrenheim z żoną, córkami i całą ambasadą. Gdy się we drzwiach zjawił, wszyscy stanęli, umilkli, a muzyka zagrała hymn „Boże, cara chroń!“ Potem wybuchła burza oklasków i krzyków „niech żyje Rosja“, a ambasador, wzruszony do głębi, dziękował ze łzami w oczach. Wnet go otoczyli najwybitniejsi bonapartyści, a prezes ich komitetu centralnego, ks. Padwy, otwierał wszędzie ambasadorowi drogę, niby mistrz ceremonji.

Oczywiście, że to zabolało Niemców, którzy są niezmiernie drażliwi na bodaj najlżejszy objaw franko-rosyjskiej przyjaźni. Ledwo jednak pozbyli się żółci, którą wzburzyła w nich ta manifestacja, wskazująca, że nietylko republikanie, nietylko legitymiści, jak to wiemy z mowy margrabiego de Breteuila, ale i bonapartyści lgną do stóp rosyjskich — aż oto nowa strzała ugodziła w niemieckie serce, „bojące się tylko Boga;“ przy uzupełniających wyborach do parlamentu, w niedzielę, padło na Boulangera ni mniej, ni więcej, tylko 54 tysiące głosów, chociaż jenerał otwartym listem oznajmił, że wyboru nie przyjmie, służby nie porzuci, chce się całkowicie poświęcić tylko wojskowości i prosi na wszystko, żeby nań nie głosowano. Jeśli pomimo tego padło nań tyle głosów, to widocznie wyborcy chcieli zaznaczyć swoją dlań życzliwość. Więc wzruszyła się prasa berlińska i dowodzi, że idea dyktatury wojennej coraz więcej znajduje zwolenników we Francji, że Boulanger jeszcze nie odegrał swej roli, jeszcze wróci, ale już z dobytym mieczem, — ot, niech tylko skończy się wystawa urządzana na pamiątkę setnej rocznicy rewolucji. Wtedy Francuzi rzucą w kąt swe zamiłowanie do pokoju, a do tego czasu i armja będzie zreorganizowana; wszakże minister wojny wyraźnie w parlamencie powiedział, że za rok armja będzie gotowa. Do tego czasu i flotę doprowadzą do porządku i powiększą — wszakże w Tulonie właśnie założyli 18 nowych okrętów i kilkadziesiąt łodzi torpedowych. Więc co to będzie za rok?...

Tak biada prasa berlińska, czarno patrząca na świat przez okulary chorego cesarza i następcy tronu. A tu na nieszczęście przybywa jeszcze wiadomość, że margrabia de-Breteuil od księcia Walji dowiedział się, że „związek austro-niemiecko-włoski na kruchej spoczywa podstawie“ i dla tego frazes ten tak śmiało rzucił w swej mowie. Bismark niby wie, że bardzo krucha podstawa tego związku, ani wątpi, że ona się lada dzień rozsypie, i dla tego tak zabiega przed Rosją w sprawie bułgarskiej...

Wszystko to są chorobliwe napady pessymizmu, do którego przedewszystkiem skłonni są ludzie, czujący, że zawinili wobec bliźnich wiele, bardzo wiele.

Korespondencje.

Wiedeń 5 marca.

W komisji budżetowej toczyła się dzisiaj bardzo wyczerpująca dyskusja nad tytułem budżetu: „Poczty i telegrafy.“

Pos. Heilsberg wyraził usilną prośbę, ażeby rząd zajął się tylokrotnie już poruszaną sprawą uregulowania smutnych stosunków listonoszy, sług pocztowych i strażników na linjach telegrafów.

Pos. Hausner wskazał, że preliminarz rządowy w rubrykach „Poczt i telegrafów“ jest nader optymistyczny w stosunku do innych rubryk preliminarza. Mówca wyraził także życzenie, ażeby zakładanie poczt rządowych postępowało w szybszem tempie jak dotychczas. Miejscowości takie jak Czortków, Sokal, Jasło, Oświęcim mają rocznie 58.000 do 88.000 przesełek pocztowych i 4000 do 9000 zł. dochodu, podczas gdy Kałusz z 200.000 przesełek, Wieliczka z 112.000, Łańcut z 158.000 przesyłek i 6000 do 10.000 dochodu, a nie mają urzędów pocztowych rządowych, tylko prywatne. Mówca zapytuje, czy i kiedy rząd zamierza w tej sprawie coś zrobić.

Podnosi mówca także, iż przy urządzaniu linij telegrafów w Galicji rząd wymaga nie tylko dostawienia słupów telegraficznych, ale pierwszej wymiany ich na nowe już po 10 latach. Wreszcie zaznaczył p. Hausner, iż należytość dla posłańców za doręczanie depesz na prowincji obliczaną bywa zanadto wysoko, co wpływa na zmniejszenie ruchu telegraficznego.

Pos. dr. Starzyński poruszył sprawę przerw w ruchu pocztowym w Galicji, gdzie za lada wstrzymaniem pociągów, skutkiem tak częstych zamieci śnieżnych, przesełki listowe, dzienniki itd. często tygodniami zalegają na pocztach. Mówca prosił, ażeby rząd w jaki sposób zaradził złemu, które na tysiące niewygód naraża publiczność używającą instytucji pocztowej.

Pos. dr. Russ wystąpił między innemi przeciw pneumatycznym „listom kartkowym“, które są niemal przezroczyste tak, że każdy niepowołany w treść ich wejrzeć może. Mówca wniósł zarazem rezolucję wzywającą rząd ażeby ponownie podjął sprawę upaństwowienia instytucji telefonów w Wiedniu.

Dr. Machalski zapytał ministra, czy po wybudowaniu nowego gmachu pocztowego w Krakowie, filja pocztowa w Sukiennicach zwiniętą zostanie?

Minister handlu odpowiedział na niektóre z powyższych kwestyj. I tak przedewszystkiem rząd nie może dziś jeszcze oznaczyć czasu, w którym wystąpi z projektem polepszenia płac służby pocztowej, może jednak zapewnić, że odnośna regulacja obejmie także i strażników dróg telegraficznych, którym zapewni wyższą jak dotychczas płacę, a mianowicie 400 zł. Przyrzeczenia, danego w roku zeszłym, co do polepszenia dyurnów telegrafistek i manipulantek pocztowych, minister dotrzymał.

Taksy za doręczanie telegramów na prowincji oznaczają się tylko za zezwoleniem miejscowej władzy politycznej i według zwyczajów i stosunków miejscowych; bezpośredniego wpływu na wymierzanie taks centralny zarząd poczt i telegrafów mieć nie może.

Co do skargi p. Starzyńskiego na przerwy komunikacji pocztowej w Galicji podczas zawiei śnieżnych, odpowiada minister, że zdarzają się te przerwy może tylko w poszczególnych, odosobnionych wypadkach, zresztą w razie takich elementarnych przypadków poczty robią wszystko co w ich mocy, ażeby komunikację utrzymać.

Sprawa zaprowadzenia markowanych przesyłek pocztowych większych może być traktowaną tylko w porozumieniu z rządem węgierskim. Zażalenia na pneumatyczne karty listowe bierze minister do wiadomości i uwzględni je przy zarządzeniu drukowania nowego nakładu tych listów. Wreszcie omawiał minister sprawę zaprowadzenia rządowej instytucji telefonów w Wiedniu. Sprawa ta musi być jeszcze przedmiotem studjów. W razie objęcia telefonów w zarząd państwowy, żaden z abonentów nie zapisywałby się już do licznych zakładów prywatnych, które w Wiedniu powstały, a czekałby na otwarcie zakładu rządowego, przytem nastąpiłyby liczne przerwy w ruchu telefonicznym i t. d. Zresztą w tej mierze rząd zachował sobie wolną zupełnie rękę, i żadnemu przedsiębiorstwu prywatnemu nie przyrzekł przedłużenia koncesji; — w ogóle zaś zajmuje w sprawie telefonów stanowisko wyczekujące.

Ostatecznie tytuł „poczty i telegrafy“ został w komisji bez zmiany według projektu rządowego przyjęty.

Petersburg 29 lutego.

(>) Przyszedł nareszcie zdawna oczekiwany „czarny gość“: tak w żargonie tutejszej giełdy nazywa się bankructwo. Przyszedł on nie nagle, długo się czaił po kątach, ale tak, że obecność jego czuć było; w tych kątach się roztasowywał coraz szerzej, aż wreszcie wyjrzał na świat Boży — i oto krach po krachu zaczął następować. — Pierwszą ofiarą padł wielki Bank dla Handlu Zagranicznego; nie upadł on całkiem, nie zbankrutował, ale omdlał i teraz spoczywa bez ruchu. Muszę o nim słów kilka powiedzieć, bo od losów jego zależy wiedeński *Bankverein*. Głównym powodem strat Banku dla Handlu Zagranicznego były różnice na kursie waluty. Pochłonęły one nietylko cały zysk przeszłoroczny, ale nadto prawie cały kapitał rezerwowy, z którego odliczyć trzeba 800.000 rs., wypłacone przez Bank w styczniu na rachunek dywidendy za rok 1887 w stosunku 4 pct. czyli po 10 rs. na akcję. W r. 1881 Bank podniósł swój kapitał zakładowy z $7\frac{1}{2}$ milj. na 20 miljonów rubli. Tę całą kwotę, o którą zwiększono kapitał zakładowy, więc $12\frac{1}{2}$ milj., wzięły *Deutsche Bank* i *Bankverein* w akcjach dla ulokowania w Niemczech i Austrji. Tutejszy agent *Deutsche Bank'u* utrzymuje, że jego instytucja jeszcze przed dwoma laty rozwiązała stosunki z Bankiem dla Handlu Zagranicznego, a jak rzeczy stoją z *Bankvereinem*, tego tu nie wiadomo. Straty Banku dla H. Zagr. ogółem, według ogłoszenia, wynoszą 2,390.000 rs.; kapitał rezerwowy wynosił z końcem 1886 roku 1,686.035 rs.. a zyski za rok 1887 przewidywane były w sumie $1\frac{1}{2}$ miljona, zatem razem do pokrycia strat było pieniędzy 3,186.035 rs., z których jednak 800.000 dano na konto dywidendy, tak że właściwie zostaje na stratę 2,386.035, czyli, że kapitał akcyjny nie potrzebuje być naruszonym.

Inne instytucje finansowe, skali średniej i małej, ucierpiały mocniej od Banku dla Handlu Zagr. i jedne ogłosiły krydę, inne przeprowadzają cichą likwidację.

Skoro o bankach mowa, więc wspomnę, że już w dwóch departamentach rady państwowej uchwalono otworzyć w Królestwie Polskiem pięć oddziałów Banku włościańskiego, ale na pełne posiedzenie Rady projekt przyjdzie dopiero za parę miesięcy. Z owych pięciu oddziałów cztery będą podlegały Radzie nadzorczej w Warszawie, a piąty dla ruszczonych na gwałt gubernij Siedleckiej i Lubelskiej będzie podlegał bezpośrednio petersburskiej Radzie nadzorczej. Widzicie z tego, jak konsekwentnie wydzielają te dwie gubernje z Królestwa Polskiego; maluczko, a wyłączą je zupełnie z tak zwanej „etnograficznej Polski.“ Po skonsumowaniu tego kawałka, apetyt po wstanie na kęs drugi; już prasa trąbi, że augustowska gubernja to także nie „etnograficzna Polska.“ Wstrętny to proces, ale i śmieszny — dla nas mało groźny, bo z całej Kongresówki nigdzie lud tak zawziętej nie czuje nienawiści do „rosyjskich ludzi“, nigdzie to uczucie nie występuje tak jaskrawo i zgodnie, jak właśnie w owych dwóch ruszczonych gubernjach.

W świecie politycznym — cisza. Głośne rozprawy, pobrzękiwanie szablami ustało. Zniechęcenie zajęło miejsce dawnego ferworu. Na szowinistyczne zapędy nałożono surdynę i tylko jeden p. Giers pracuje spokojnie i bez namiętności, jak zwykle; on dziś głównym aktorem. Wódz militarnego odłamu panslawistów, minister wojny Wannowski, przeżywa ciężką chwilę. Pokazać się nigdzie nie może, więc się zamknął, a w opinji ogromnie upadł. Był on w wojsku zawsze niepopularny, nazywano go „papierowym jenerałem“, nie lubiono za drobiazgowość i niezdarność w rzeczach ważnych i wielkich. Ta niepopularność ogarnęła i wojskowe zakłady naukowe i otóż przed kilku dniami w korpusie Paziów, gdzie się wychowuje młódź najbardziej arystokratyczna, wygwizdano i zarzucono talerzami Wannowskiego, ledwo się on pojawił w szkole podczas obiadu studentów. Jenerał Dieterichs, dyrektor zakładu, choć błagał paziów o uszanowanie ministra, nic jednak nie wskórał i w rezultacie dostał dymisję. Na tem się zajście skończyło, bo car rzekł Wannowskiemu, że dla niego nie zadrze się z całą arystokracją.

Naczelnik głównego sztabu wojsk, jen. Obruczew, popadł w niełaskę i podobno zastąpi go Kuropatkin. Podstawili mu stołka panslawiści za to, że przemawiał przeciw wojennemu prądowi; oskarżyli go przed carem o „czerwone“ idee. Zostaje tedy na całą Rosją jeden tylko Kuropatkin i jeszcze... Hurko! Pierwszy jest wschodzącem słońcem“, a drugi — „wschodzącym księżycem“ wojny.

Wątpliwe to słońce i wątpliwy księżyc — niewiele takie potęgi dokażą na wojnie. Jakże ją zresztą prowadzić, kiedy pieniędzy nie ma? Ratując swe stanowisko, jen. Obruczew dowodzi w memorjale, że na wojnę z Austrją i Niemcami pieniędzy nie trzeba, bo w kraju nieprzyjacielskim wojsko będzie brało wszystko darmo, a we własnym za ruble papierowe. To oczywiście farsa, bo w kraju nieprzyjacielskim nie będzie co brać, wszystko przedtem się sprzątnie, a we własnym kraju niebezpiecznie jest podczas wojny drażnić ludność zabieraniem jej żywności za papiery, których wartość będzie bardzo problematyczna.

Więc faktem jest, że teraz rząd tutejszy wojny bardzo nie chce i uczyni wiele, żeby jej nie mieć. Ale, że na wszystko trzeba się przygotować, więc właśnie wyszedł rozkaz postawienia marynarki w stanie pogotowia. Na 15 marca (starego stylu) naznaczono jeneralną rewię zbrojnych sił morskich na Bałtyckiem morzu. Dokona jej jenerał-admirał w. ks. Aleksy z całym marynarskim sztabem.

Dwaj dyplomaci.

Pester Lloyd zamieszcza następujący artykuł pochodzący ze sfer dyplomatycznych:

Dwaj mężowie, którzy na chwilę zniknęli byli z politycznej sceny Europy, występują dziś nagle znowu na pierwszy plan. Hr. Robilant został mianowany włoskim ambasadorem w Londynie, a lord Dufferin ambasadorem W. Brytanji w Rzymie. Anglja i Włochy przesyłają sobie nawzajem najpierwsze swe siły. Od czasu kiedy markiz d'Azeglio, przyjaciel Palmerstona zajmował posadę ambasadora w Londynie, a sir James Hudson, przyjaciel Cavoura podobne stanowisko w Turynie, po raz pierwszy znowu zdarza się wypadek podobny, że oba te państwa

---

9)

Dzisiejszy Don Kiszot.

SZKIC.

Napisał

Abgar-Sołtan.

(Dokończenie.)

— Mogę — szepnęła dziewczyna i łzami zaszły jej oczy. — Kocham nawet... kocham od dziś, od tej chwili — szeptała ledwie dosłyszalnym głosem — i rumieńce opuściły jej twarz i zaduma jakaś wstąpiła w ich miejsce.

On stał, dłoni jej od ust nie odejmując, nagle przemówił głosem, w którym brzmiała roskosz, szczęście i tryumf zwycięztwa — nie, nie, jeszcze raz nie, nie od dziś, nie od tej chwili ty kochasz mnie, ale już dawno, dawno, ja wiem tylko od kiedy, aleś ty sama o tem nie wiedziała i uczuła byś to była dopiero wówczas, gdybyś się była o mej śmierci dowiedziała... o mej śmierci, o której tak długie godziny myślałem... której jako koniec mych męczarni nieraz tęsknie wyglądałem. Nagle uczuł jak ona drugą rączką usta mu zakryła i wesoło przemówiła, a uśmiech wesoły swobodny znowu w jej oczach zaigrał.

— Fe, któż takie rzeczy mówi, fe! fe, panie Kazimierzu.

On objął rączkę i zatrzymując już obie mówił dalej.

— Muszę mówić — tak długo milczałem — Anuś! Anuś!... to zemsta moja; i znowu jej ręce całował — tak, ty mnie kochasz już dawno, choć nie wiedziałaś o tem, choć pragnęłaś zaprzeczać sama sobie... tobie żal było opuszczać świata, którego nie znasz jeszcze, w tobie ciekawość z miłością walczyły.... ja wiem o tem... ja ci ten świat pokażę.,. choć wierz mi najdroższa, nie ma się czego spieszyć.

W tem dały się słyszeć odgłosy ciężkich kroków, zbliżających się w ich stronę. Anna ręce usunęła z dłoni Kazimierza, rumieniec na nowo twarz jej oblał i szepnęła z cicha, podnosząc palce do ust.

— Chodźmy do mamy! — zaraz chodźmy do mamy.

I poszła przodem, on za nią wpatrzony w jej ślady i powtarzając z cicha Anno.. Anno... Anno moja.

Tak weszli do domu. Matka siedziała zajęta jakąś robotą i ze zdziwieniem spojrzała na Kazimierza, nie wiedziała bowiem nic o jego przyjeździe, i przechodziła zwolna zwrokiem z twarzy córki na twarz Kazimierza, nagle domyślać się czegoś poczęła, i w tej chwili dopiero powstała — wyciągając rękę do przybyłego, łagodnym głosem: — Witam pana — wyrzekła.

On podniósł tę rękę do ust i usunął się na kolana i głosem z najdalszych głębi duszy płynącym — błogosław nam — zawołał. Anna również klęczała u nóg matki i przez łzy o błogosławieństwo prosiła.

— Niech wam Bóg błogosławi... niech błogosławi... — mówiła pani, podnosząc córkę i pocałunkami okrywając jej zarumienione czoło i łzami zroszone oczy — potem zwracając się do Kazimierza, jakby z wyrazem żalu jakiegoś, rzekła:

— Błogosławię wam, ale czemuż tak spiesznie, dla czego tak prędko chcesz mi ją zabrać... ledwie to dorosło... poczekasz ty jeszcze, poczekasz, nim my wyprawę zrobimy.

— O poczeka, poczeka pan Kazimierz, bo mnie mamy żal! poczeka — umyślnie nie będziemy się spieszyli... rok, dwa — tylko proszę nie rozpaczać, bo tego nie lubię.

Kazimierz patrzył z roskoszą na uśmiechniętego aniołka i choć zapewniał, że czekać będzie cierpliwie, to jednak jakiś jowialny uśmiech kryjąc się głęboko pod wąsami, zdradzał, że ze swej strony będzie robił co będzie mógł, by tę wyprawę jak najspieszniej ukończyć.

W tem ukazał się we drzwiach służący, zwiastujący, że stary Stanisław z Jankowiec przyjechał i pragnie się zaraz z panem Kazimierzem widzieć i czeka nań w przedpokoju. Anna wybiegła pierwsza, za nią Kazimierz.

— A co ci się stało stary? żeś aż tu za mną przyleciał — zapytał.

— Nieszczęście! nieszczęście! wielmożny panie — szeplenił stary — całując z uszanowaniem rękę przestraszonej Anny.

Kazimierz, któremu dziś wszystkie nieszczęścia, po za obrębem Gajów, były zupełnie obojętnemi, z wesołym uśmiechem zapytał.

— A jakie? sadza się zapaliła?

— Gorzej wielmożny panie, gorzej... nieszczęście sprawiedliwe... mięsa ani na lekarstwo... kurczęta pozdychały... z przeproszeniem jasnej panienki... prosiąt już z pół roku nie mamy... a tu — tu rozstawił palce u ręki, zaczął liczyć, lecz nie mogąc dorachować się, machnął ręką i z najwyższą rozpaczą zawołał: — gości najechało.

— No któż tam mógł przyjechać?

— Kto... mało kto, ale wiele... jest ciotka nasza pani Teresa.., jest druga ciotka, z przeproszeniem panna Zenobja... jest nasza pani, nasza Helenka, pani Helenka... dzieci czworo i dwie bony... a mięsa ani krzty. Do tego pani Helenka powiada, że to jej imieniny... ja to wysłuchał... taj wziął... taj uciekł... niech się dzieje wola Boska.

— A prawda, że to dziś świętej Heleny, zapomniałem na wieki, co tu robić? — mówił sam do siebie Kazimierz.

— Co robić? co robić? — wołała wesoło Anna — niech pan zaraz jedzie i zaprosi tu swoich krewnych na obiad... o jakżem rada, że poznam panią Helenę.

— Ja... ja mam jechać... ja mam dziś ztąd jechać? za nic w świecie, kroku jednego dziś ztąd nie zrobię — i całując rękę Anny mówił dalej — napiszemy zbiorowe zaprosiny, wystosowane na imię ciotek, Helenki i dzieci, o bonach można zamilczeć... i wyszedł. Wrócił po chwili podając Annie ćwiartkę zapisaną do podpisania. Anna przeczytała i rumieniąc się znowu podpisała. Stanisław stał zbity z tropu patrząc to na swego pana to na pannę. Nareszcie przemówił.

— Jak Boga kocham tak proszę wielmożnego pana nic nie rozumiem, jakże te wszystkie nasze panie tu z pierwszą wizytą na obiad głodne poprzyjeżdżają... jak ja im to mam oświadczyć. Co panna Zenobja powie?

— Nie bój się, nic ci złego nie zrobi, a teraz pocałuj pannę w rękę i zaskarb sobie mój stary jej łaskę, bo to będzie nasza pani.

Stary stanął jakby gromem rażony, wyprostował się jak dąb, nagle łzy strumieniem puściły mu się z oczu i jak długi rzucił się Annie do nóg, całując jej stopy. — Chwała Bogu! chwała Bogu! że panienka nas zechciała, niech jej Bóg wynagrodzi — i długo całował jej nogi, podniesiony przez Annę zerwał się jakby mu ze dwadzieścia lat ubyło i podrygując, wesoło zawołał, patrząc na Annę:

— No przynajmniej będzie komu polityczny obiad zadysponować, a naszemu panu o ze wszystkiem nic do tego.

— No, spiesz się stary — przerwał Kazimierz — spiesz się, a nic nie mów paniom, niech tu się dopiero dowiedzą.

— Aha pewnie... wytrzymam... zaraz naszej pani Helence powiem i pani Zenobji także, żeby nie gderała, może ta wiadomość gniew w niej zagłuszy...

Dnia 24 października 1887 r.
w Olexińcu polnym.

KONIEC.

przesyłają sobie nawzajem najdzielniejsze swe siły dyplomatyczne: najlepszy to dowód, jak wielką wagę obustronnie przywiązują one do wzajemnych stosunków.

W dzienniku w Austrji wychodzącym mówić o Karolu Mikołaju hr. Robilancie to wygląda na dziką niemal pretensję. Wiadomo przecież, iż wysłużywszy się ojczyźnie na polu bitwy i straciwszy przy tej okazji jedno ramię, reprezentował br. Robilant później Włochy na dworze wiedeńskim przez cały dziesiątek lat, naprzód jako poseł, potem jako ambasador. Zarówno w Wiedniu jak w Peszcie znany on jest niemal tak dobrze jak w własnej ojczyźnie. Po kądzieli wywodzi on ród swój, przez babkę, z domu Hohenzollern-Hechingen, matka zaś była hrabiną z domu niegdyś udzielnego hrabstwa Waldburg. Małżonką jego jest najstarsza córka austrjackiego księcia Clary, on sam spowinacony jest z Radziwiłłami i — z Ignatiewem.

To ostanie powinowactwo nie wpływało bynajmniej na jego polityczny kierunek, jakkolwiek podczas pobytu rosyjskiego eks-ambasadora w Wiedniu przyjmował go bardzo uprzejmie. Rola jaką hr. Robilant odgrywał w politycznem i towarzyskiem życiu w Wiedniu, szczególne względy, jakiemi cieszył się u dworu, są to rzeczy znane równie dobrze jak i wypadki, które zaszły w Rzymie, kiedy rezydował w pałacu della Consultà, jako następca Manciniego a poprzednik Depretisa (przy tece ministra spraw zagranicznych), który nie znalazłszy żadnego dyplomaty chętnego do zastąpienia Robilanta, sam na swe barki wziął ciężar ministerstwa spraw zewnętrznych. — Niemniej znaną jest rzeczą, że hr. Robilant cieszy się szczególniejszą przychylnością króla Humberta i królowej Małgorzaty i że w Kwirynale czuje się nie jak w pałacu swego króla, ale jak u siebie w domu.

Nawiasem wspomnieć wypada, że hr. Robilant obok kapitana gwardji przybocznej Cesarza Austrji, jen. bar. Kollera, jest jedynym śmiertelnikiem, którego piersi zdobią aż trzy austrjackie wielkie wstęgi orderowe. Nie wiele jest osób za granicą, które posiadają dwa wielkie krzyże austrjackie; zaś trzy mają tylko Robilant i Koller.

Może przy innej sposobności opowiemy kiedyś małe zajścia jakie miał Robilant czasu swego w Wiedniu posłowania z pewnym wysokim dyplomatą austrjackim, i jedno spotkanie, a raczej niespotkanie z ks. Bismarkiem, kiedy tenże ostatnim razem w Wiedniu bawił: w obu wypadkach jednoręki reprezentant Włoch okazał się bardzo ostrym i stanowczym.

Hr. Dufferin, którego Anglja do Rzymu wysyła, jest mężem zupełnie innego zacięcia, aniżeli Robilant, chociaż obaj mają pewien rys wspólny, obie głowy wyposażone są bowiem równie świetnym dowcipem. Robilant zdradza jednak czasem żołnierza albo umyślnie sroży się Marsem, podczas gdy Dufferin jest na wskróś dyplomatą i literackim talentem, eleganckim, giętkim, więcej zręcznym, aniżeli śmiałym. Z rodu jest Irlandczykiem, ale protestantem. Babka jego była córką wielkiego Sheridana (sławnego komedjopisarza i mówcy parlamentarnego, syna aktora i autora słownika angielskiego, 1751—1816), po którym prawnuk zdaje się odziedziczył potężną dozę dowcipu. Ojciec odumarł go w bardzo młodym wieku, w skutek czego on, jako baron Dufferin mając zaledwie lat dwadzieścia, wstąpił do Izby lordów. Palmerston, który powziął bardzo wysokie wyobrażenie o zdolnościach młodego człowieka, posłał go w r. 1860, po rzezi Maronitów chrześćjańskich na Libanonie przez Druzów dokonanej, do Libanonu jako angielskiego komisarza cywilnego. Tam Dufferin swoją energją Mehemedowi-Erminowi-Aali baszy i komendantowi francuskich wojsk okupacyjnych, jenerałowi Beaufort d'Hautpoul, zaimponował niezmiernie. Za powrotem stamtąd, został mianowany podsekretarzem stanu dla Indyj, potem w departamencie wojennym, pod ministerstwem Gladstona, kanclerzem księstwa Lancaster, jednakowoż nie zasiadał w gabinecie.

Nie udało mu się odegrać właściwej swej roli w parlamencie i w partji liberalnej, dla tego udał się jako generalny gubernator do Kanady, gdzie pozostawał lat dziesięć i według jednomyślnej opinji wszystkich partyj był najlepszym i najpopularniejszym gubernatorem, jakiego kiedykolwiek Anglja tam miała. Lord Beaconsfield posłał go następnie jako ambasadora do Petersburga, gdzie podczas nader trudnych momentów przesilenia wschodniego szczęśliwie i zwycięsko stawiał czoło rosyjskim dyplomatom. Stamtąd poszedł do Konstantynopola — właśnie podczas okupacji Egiptu. Zauważano wówczas powszechnie w Stambule i na Perze, iż ten zawsze wesoły i dowcipny dyplomata najchytrzejszego Lewantczyka podejść potrafi. Przed czterema laty Dufferin wyniesiony do godności hrabiowskiej, został wicekrólem Indyj. Tam głównem jego dziełem była anneksja Birmy. Wicekról Indyj bywa zwykle na lat pięć mianowany, w ostatnich czasach atoli rzadko który z nich wytrzymał do końca, a pozostawanie na posadzie przez drugie jeszcze pięciolecie (jak to trafiło się Warrenowi, Hastingsowi, Bentinckowi, Dalhousiemu) wyszło już całkowicie z mody i lord Dufferin idzie zupełnie za przykładem bliższych swych poprzedników: Northbrooka, Lyttona i Ripona, jeśli stanowisko swe w Indjach przed terminem opuszcza. — Trzej wymieniemi zrezygnowali wskutek nieporozumień z rządem centralnym; co Dufferina zmusza do ustąpienia, nie wiadomo dobrze. Ale ile straci administracja angielska w Indjach, tyle z pewnością zyska dyplomacja. Zawsze zaś fakt, że Anglja pierwszą niezaprzeczenie dyplomatyczną siłę swoję wysyła do Rzymu, jest z pewnością wielce charakterystycznem znamieniem czasu.

Mały Fejleton.

Z pamiętników... wieprzusia.

„Dwanaścioro było nas rodzeństwa...

Nie pomnę pierwszych chwil życia mego, ani też nie przypominam sobie rodzicielki naszej.

Z przeszłości zdaję sobie sprawę dopiero od czasu, kiedy już podrosłych nieco, ulokowano nas w osobnym chlewku.

Przegroda, w której mieszkać nam przeznaczono, sąsiadowała z dwoma innemi: po prawej i lewej; prowadziły z niej drzwiczki na wspólny kurytarz, obok zaś drzwiczek urządzoną była ruchoma klapa i przez nią to podawano nam z zewnątrz jedzenie do korytka, stojącego tuż pod klapą.

Podważywszy klapę, zwłaszcza jeżeli była trochę obluzowaną, można się było dostać na kurytarz, i, przyznam się, zaraz po sprowadzeniu się naszem do powyżej opisanej przegrody, wiedziony wrodzoną mi ciekawością, próbowałem kilka razy wymknąć się na wolność, ale nie dopisały mi siły; klapa była zbyt ciężką i dałem za wygraną.

Próżny trud!... Cóż by mi zresztą było po świeżem powietrzu?...

Wolałem wylegiwać się wygodnie w słomie lub wycierać boki o chropowatą powierzchnię ścian przegrody. To wycieranie boków szczególniej lubiłem. Jagata, dziewka obsługująca nas, mawiała wtedy, że ja się „cocham“.

Wyraz ten zapamiętałem sobie.

Było nas tedy, jak rzekłem, dwanaścioro rodzeństwa: siedem świnek i wieprzaczków pięć Ja do tych ostatnich należałem.

Podobno rasowi byliśmy bardzo. Jakieś Angliki, czy coś w tym rodzaju.

— To tuzinek na wystawę! — mawiał właściciel nasz, zdaje mi się, obywatel z radomskiego, ilekroć odwiedzając chlewki, stanął przed naszą zagrodą.

— Jagata! — dodawał — pamiętaj mi o nich, bo to delikatne...

Miano też o nas staranie nielada! Dobrze, bardzo dobrze bywało nam w onych czasach.

Jagata co dnia podesłała świeżej słomy, ciepłą wodą zmywała korytko i co dnia najsmaczniejszemi wypełniała je kąskami.

Serwatką, zsiadłem mlekiem, osypką — aj! osypka!

Lubiłem także bardzo słodkie mleko, ale to ostatnie jakoś tylko krótki czas po odsadzeniu dawano nam; później przestano.

A ciepłe pomyjki — he?

Czego w nich znaleźć nie można było!

Na samę myśl ślinka do ust idzie.

To też żarłokami byliśmy wszyscy, chociaż ja co prawda pod tym względem przewyższałem innych.

Ale bo i okoliczności jakoś sprzyjały mi. Najstarszy byłem z rodzeństwa, najroślejszy i najsilniejszy, nadto faworytem Jagaty, która mnie rada kosztem młodszej braci odżywiała.

Ilekroć podnosiła się klapa w przegrodzie, a dłoń dziewki zbrojna w sagan, pełen przysmaków, ukazywała się ponad korytkiem, tyle razy ja, rozpychając innych na prawo i lewo, wskakiwałem w nie, wyjadając co najgodniejszego było w niem uwagi.

Jagatę postępowanie moje nie gniewało wcale. Raz nawet, pomnę, napadnięty przez dwóch z braci moich, najtęższych po mnie wieprzaczków i z siostr jednę, także świnkę niczego, gdy już uledz miałem przewadze i odstąpić od korytka, dziewka ujęła się za mną. Napastnicy oberwali miotłą, a ja się utrzymałem na placu.

Spryt mój bawił Jagatę.

— Cie go — wołała uradowana — jakie to bestyjstwo zmyślne. A skore to do jadła, niby nie przymierzając wieprzek jaki. Przyńdzie i na ciebie kolej, nie bój się!...

Ja wtedy najadłszy się i kwiknąwszy dziewce z podziękowaniem, odchodziłem zwykle w sam róg chlewka, a „cochając“ się bokiem o ścianę, rozmyślałem nad słowami Jagaty.

Po długiem łamaniu głowy pojąłem nareszcie, że wyraz „bestyjstwo“, który tak często mówiąc o mnie powtarzała, było to sobie ot tak nic, rodzaj karesu i przymilania się jej do mnie, inaczej jednak rzecz się miała z owem „wieprzek“.

— Co to może być — myślałem. — Zapewne nielada dygnitarz jakiś, skoro tyle trzeba było jadać, żeby nim zostać.

Jagata zawsze z pewnym szacunkiem wyrażała się o nim, to też zapragnęło mi się całą duszą zasłużyć sobie kiedyś na tytuł „wieprzka“.

Przedewszystkiem jednak wypadało dowiedzieć się czegoś więcej o tem stworzeniu.

W poszukiwaniach moich los sam przyszedł mi z pomocą.

Tak zaś to było:

Pewnego dnia, a już wtedy ja i rodzeństwo moje podrośliśmy byli znacznie — weszła do przegrody naszej Jagata, za nią gospodyni i poczęły nas chwytać i gdzieś z przegrody wynosić.

Kwiczeliśmy w niebogłosy, nic to jednak nie pomagało; wyłapano, pamiętam, najpierw wszystkie siedem sióstr moich, poczem Jagata chwyciła mnie za tylną nogę i także na korytarz wyniosła

Za dziewką szła gospodyni, trzymając na rękach jednego z braci moich.

Cały niemal w ten sposób przewędrowaliśmy kurytarz, na którego przeciwległym końcu dopiero Jagata otworzyła spory chlewek i wpuściła mnie wraz z bratem do środka.

Drzwi zatrzaśnięto — i zostaliśmy sami.

Gdym się nieco po odniesionych wrażeniach uspokoił, widząc, żem zdrów i cały, podniosłem głowę, by rozejrzeć się po nowem mieszkaniu.

Przegroda to była kropka w kropkę podobna do tej, z jakiej przed chwilą nas wytransportowali; opatrzona w klapę, drzwi, korytko, chropowate ściany i podesłana słomą.

Trąciłem brata ryjkiem, brat kwiknął z cicha i rozpoczęliśmy oględziny.

Zajrzałem do korytka — puste było Nie mając co robić, jąłem chodzić po pod ścianami, a obcierając się o nie, tu i owdzie obwąchiwać je.

Nagle z prawej strony po za przegrodą coś się ruszyło, sapnęło, furknęło i zacharkało niby świnia a niby nie.

— Co to być mogło? Ani Jagata, ani gospodyni.

Zdrętwiałem.

Wstrzymując w sobie oddech, zwolna, noga za nogą przysunąłem się do ściany, a że była w niej szpara, zajrzałem i...

Nie zapomnę nigdy zdziwienia mojego.

Oto tam po drugiej stronie przegrody, leżąc w słomie, poruszała się jakaś wielka, olbrzymia bryła czegoś, porosła, zda je się, świńską skórą, opatrzona, jak i rodzeństwo moje, ryjem, ale bez nóg.

Przynajmniej tak przypuszczałem w pierwszej chwili.

Kwiknąłem na brata, ten podbiegł do mnie i obserwowaliśmy dalej wspólnie.

Dziwoląg charknął znowu i strzepnął głową a z pod obwisłych jego uszów błysnęło na chwilę piękne, w świńskiej oprawie, oko.

— Świnia chyba—kwiknąłem do brata—ale jakaś dziwna świnia.

— Patrz, patrz — odkwiknął mi brat — podnosi się.

I rzeczywiście, to była świnia, ale takiej nigdy jeszcze nie widziałem.

Ogromna jakaś niby beczka, sapiąc, na króciutkich nogach z wielkim trudem podsunęła się do koryta.

— Chora—pomyślałem—czy udźwignąć się nie może.

W tej samej chwili na korytarzu usłyszałem głos gospodyni:

— Jagata, a wieprz już dostał?

— Dyć mu akurat niosę—dziewka na to i otworzyła klapę nad korytem, do którego nieznane mi stworzenie właśnie zaglądało.

— A więc to to „wieprzek“ — zawołałem uradowany odkryciem? To to mój ideał; dygnitarz, o którym z uszanowaniem zawsze wyrażała się Jagata? To ta bryła na króciutkich nogach, tak ułudnie do zwykłej świni podobna, a przecież jakaś niezwyczajna?

— A co jemu jeść dają?—i pociągnąłem nosem w stronę koryta.

Doleciał mnie zapach czegoś nieznanego mi jeszcze, ale smacznego, o, bardzo smacznego, a co ważniejsza, korytko, choć znacznie większe od naszego, pełne było specjału po brzegi.

Szczęśliwy wieprz, zajadał ze smakiem, wyjadł wszystko co do kropli, potem, sapiąc, ułożył się w słomie i zasnął.

Odtąd nie spuszczałem go prawie z oka.

Mnie i bratu memu w tym czasie jakoś dawano jeść nie najlepiej.

Co dnia prawie parzone łupiny z kartofli.

Przejadły mi się; to też zawistnem okiem spoglądałem na sąsiada, pragnąc jak najrychlej wieprzkiem zostać.

Życie prowadziłem teraz jednostajne; od czasu do czasu wypędzano mnie z bratem na podwórze, po którem biegałem, ryjąc tu i owdzie i wyjadając ze śmietników, co się dało.

Raz podczas takiego spaceru spotkałem się z jedną z sióstr moich. Podrosła i wypiękniała bardzo. Pytałem jej o losy reszty rodzeństwa, ale nie umiała mnie objaśnić; mieszkała teraz w osobnej przegródce w towarzystwie dwóch obcych świnek

W pole nie wypędzano mnie nigdy. Jagata bowiem była zdania, że takim, jak ja, anglikom, nie wypadało pospolitować się w towarzystwie świń zwyczajnych.

Nudziłem się też czasem bardzo.

Tak upłynęło parę tygodni.

Aż oto pewnego południa, gdy, jak zwykle, zatopiony byłem w obserwowaniu sąsiada mojego wieprzka, do chlewka jego weszła Jagata i zamiast zwykłych specjałów, wlała mu do korytka, wypłukawszy je przedtem, czystej wody.

Wieczorem powtórzyło się to samo.

Uderzyło mnie to.

Czyżby go głodem zamorzyć chciano? Woda w południe, woda wieczorem.

Coś tu się w tem niedobrego święci—pomyślałem.

I nie pomyliłem się.

Jakoż na drugi dzień, zaledwie świtało, zbudził mnie niezwykły hałas jakiś w kurytarzu. Przechadzano się tu i tam, głośną prowadząc rozmowę.

Poznałem między innemi głosy Jagaty i gospodyni. Mówiły coś o sznurach, nożu, ciepłej wodzie...

Nagle otworzono drzwi do przegrody sąsiada mojego.

Zaciekawiony pobiegłem do szpary w ścianie.

Na środku chlewka stał jakiś nieznany mi mężczyzna, i kopiąc a bijąc go po grzbiecie, zmusił wieprzaka, aby się podniósł na nogi.

Gdy to się stało, zarzucił mu z grubego sznura pętlicę na kark, i chociaż sąsiad mój kwiczał aż się chlewki trzęsły, jął ciągnąć go na kurytarz.

Przybiegła Jagata, potem gospodyni, ciągnęli wszyscy. I wyciągnęli go na podwórze.

Co się to działo? czy wieprzek chodzić już nie mógł, a oni koniecznie chcieli, ażeby się przespacerował?

Niepewności tej znieść nie byłem w stanie. Podbiegłem do klapy, podważyłem ryjem i wydostałem się na kurytarz.

Wyjrzałem drzwiami wychodzącemi na podwórze i... krew ścięła mi się w żyłach.

Po nad wieprzakiem, który leżąc zmęczony, kroku zrobić nie mógł, stał z podniesionym w rękach nożem nieznajomy mi mężczyzna.

W tem nóż spuścił, wieprzek kwiknął, krew trysnęła... a ja uciekłem do chlewka.

Wtuliłem się w najciemniejszy kąt przegrody i długi czas słówka przemówić nie mogłem. Wreszcie, ochłonąwszy nieco, wykwikałem wszystko bratu, ale całą noc oka nie zmrużyłem.

Pojąć nie mogłem, czemu oni go zabili. Boć, jeżeli taką ku niemu pałali nienawiścią, to czemuż przysmakami jeno karmili go do tej pory, czemu Jagata z uszanowaniem zawsze odzywała się o nim? Po co ta komedja?

W głowie mi się mięszało.

Nad ranem dopiero zdrzemnąłem się chwilę. Sen pokrzepił mnie, teraz już wiedziałem, czego się miałem trzymać.

Oni widocznie zadrwili sobie z niego, niedobrzy ludzie. Ze mną jednak co innego.

Czyż miałem — gdyby i mnie przyszło kiedyś wieprzkiem zostać — pozbawiać się smacznych kąsków i choć udanego szacunku Jagaty? Tyle poświęcić chwil przyjemnych i korzyści dla głupiego strachu, dla tego, że tamten niedołęga nie umiał sobie dać rady?...

Nie?...

Klin klinem, figiel na figiel; oszukujecie wy, będę oszukiwał i ja.

Nawet Jagacie byłbym już dziś nie wierzył.

Umyśliłem sobie z góry, jak mam postępować.

Postanowiłem sobie mianowicie, gdyby mi kiedy chciano czystej wody nalać w korytko, wyważyć klapę i drapnąć.

Pomysł swój odkryłem bratu, podobał mu się.

— Prosty jest — kwiknął — ma jednak wszelkie szanse powodzenia.

Jakoż nie długo czekałem na wprowadzenie planów moich w życie.

Na drugi dzień zaraz rankiem Jagata wymiotła czysto chlewek po zamordowanym, świeżą wysypała go słomą, a po południu już rezydowałem w nim ja.

Nawet tej delikatności nie mieli, żeby mi oszczędzić przykrych wspomnień.

Zaciąłem się; nie zepsuło mi to więc apetytu, jadłem za trzech, jak na złość, czas wolny spędzając na spaniu.

Zresztą dobrze mi było, bardzo nawet dobrze.

Czegoż bo mi jeść nie dawano!

Jadłem zatem i pocieszałem się myślą odwetu.

Jak to długo trwało, nie określę, to tylko wiem, że czas biegł mi szybko, i anim się spostrzegł, gdy pewnego południa, miasto zwykłej karmi, czystej wody podano mi tylko.

Zrazu zimny dreszcz mnie przebiegł, ale uspokoiłem się prędko. Od czegoż mój plan.

Nie potrzebowałem się spieszyć, wszak jeszcze raz wieczorem podać mi miano wody. Dopiero nocą drapnąć zamierzyłem.

Żal mi się zrobiło chlewka, tak mi w nim było wygodnie.

Zdrzemnąłem się.

Obudziła mnie wieczorem Jagata, niosła wodę.

— Czas — pomyślałem — czas wielki. Ale coś mnie tak zmroczyło, że znowu zasnąłem.

Ocknąłem się, już świtało.

Ani chwili do stracenia.

Chcę wstać — nogi odmawiają posłuszeństwa. Po długich wreszcie wysiłkach dostałem się do klapy.

Podważam ją ryjem, wysunąłem już głowę na kurytarz, chciałbym biedz dalej... a tu zmieścić się nie mogę.

Gwałtu!... Toćżem ja się tak roztył, że się ledwie w chlewku zmieszczę.

A nie zauważałem tego przedtem.

Co tu robić?... co robić?...

W tem usłyszałem głosy na kurytarzu, ciemno zrobiło mi się w oczach i runąłem bez ducha w słomę.

I wyciągnęli mnie, jak tamtego, i, jak nad tamtym, stanął nademną z podniesionym nożem w rękach nieznajomy mi mężczyzna, i...

— — — — — — — — — —

I spuścił — dospiewajmy za bohatera naszego, który na „i...“ urwał pamiętniki swoje....

List do Redakcji.

(Nowy stan ludzi).

P. T. przełożeni kościołów parafjalnych i klasztorów, chcąc domy Boże mieć odpowiednie swemu przeznaczeniu, muszą często uciekać się do zwykłego — w dzisiejszych czasach biedy materjalnej — środka, jakim jest zbieranie drobnych ofiar na chwałę Bożą Tak robią ci, co bale urządzają dla zabawy swoich bliźnich, tak robią stowarzyszenia w jakimś celu, więc nic złego nie robią i przełożeni klasztorów, że tego środka się chwytają do dobrego i pięknego celu. Ale idzie tu o cel i o sposób. Trzeba zapytać się, czy w ten sposób cel bywa osiągnięty i czy też ten sposob, w jaki to się odbywa, jest korzystny dla klasztoru i dla kollektorów pod materjalnym względem i pod moralnym.

Zwykle P. T. przełożony kościoła posyła ludzi albo ze swojej parafji moralnych, albo z obcej — na podstawie świadectwa od przynależnej władzy, z nakazem, żeby zbierał na kościoł — a dla siebie żeby dziennie brał 50 cnt., albo jak ich dwóch, to 1 zł.

Bardzo ponętna misja, bo intratna, bo łatwa, wolna od ciężkiej roboty cepami lub z siekierą. Na taki chleb puściliby się wszyscy w każdej gromadzie, na 50 ct. dziennie za łażenie wedle woli. A przytem niepodobna, żeby taki kollektor u pana wójta, albo w każdej chałupie bogatszej nie dostał co zjeść przy znajomej naszego ludu gościnności, wspartej uczuciem religijnem, że to na kościoł, zwłaszcza że p. kollektor kilkanaście powiatów zeszedłszy, ma dużo kawałków do opowiadania. Otóż zapytany jednego razu taki kollektor: a ileście zebrali na Matkę Boską? — a dwóch ich pracowało — odpowiedział: „posłaliśmy 100 zł.“ — a ileście dni chodzili? „Dwa miesiące.“ — A wam ile przeznaczono? „Po 50 zł.“ — a więc razem ileście dla siebie wzięli? Nie potrafił tego zliczyć — bo Polacy nie umieją sumować — ale ja pomyślałem sobie. Na kościoł zebrali 100 zł., a sobie wzięli 60 zł. gotówką oprócz jedzenia, które się im zerwało. Oprócz tego jeden i drugi przyszli ładnie ubrani jak jakie inteligenty z zagranicy i wypasieni dobrze jak rzeźnik. Kronika kościoła Żołyńskiego, Nowomiejskiego w Samborskiem i Borkowskiego żeby miała język, duzoby nam sekretów zdradziła.

Materjalnie sądząc, klasztor zyskał i kollektorowie kontenci z tej pielgrzymki. Ale czy skórka opłaci się za wyprawę? Możeby materjalnie lepiej poszła składka przekazem? tak jak to robi ks. proboszcz z Błozwi i ks. Trzopiński?

Ale pod moralnym względem taki kollektor będzie bankrutem. Sam z natury próżniak, nie chciało mu się w domu mleć albo młócić zboża, więc poszedł. Takiem włóczeniem się a do tego pod nabożnym płaszczem, jeszcze bardziej odzwyczaił się od roboty. Na tej pielgrzymce nasłuchał się rozmaitych rzeczy — ale gdzie? i od kogo? w karczmie, w domu wójta lub pisarza. Gadał najczęściej z ludźmi niedouczonymi, pełnymi pretensji i zazdrości do wyższych klas, którzy jeśli nie są rozumem, wychowaniem i cnotą równi tym obmawianym, to chcą przynajmniej się zrównać czapką, kapotą, szalikiem i rękawiczką. Pociesznie wygląda taki inteligent! Istne straszydło na pańskiem polu! To zewnętrzne przebranie się niby na pana jakiego, ta mina butna, ta pretensja, że panowie i księża najmniej dawali, a biedni najwięcej, to dowodzi jak się im w głowie przywróciło. I cóż z niego będzie? Ni rolnik z niego, ni mąż, ni ojciec, ni rzemieślnik, ot przyszły w okazji komunista. I pocóż takich rodzić mamy? Jeżeli c. k. Rząd łaskawy, jeżeli publiczność miłosierna i z natury i z potrzeby, to korzystajmy z tego, ale w inny sposób niż praktykowany dotąd, bo ten jest kosztowny i niebezpieczny dla społeczeństwa naszego i dla tych pielgrzymow zgubny. *Ks. W. M.*

Kronika.

Lwow, dnia 8 marca.

Zamieć śnieżna od para lat nie bywała nawiedziła nas wczoraj i trwa jeszcze ciągle.

Od wczoraj południa wstrzymany został ruch kolejowy na wszystkich linjach wychodzących ze Lwowa. Na linji Karola Ludwika przyszedł tylko pociąg osobowy krakowski przedpołudniem. Pociąg, który miał odejść ze Lwowa wczoraj o godzinie 5 popołudniu został na stacji w ostatniej chwili wstrzymany. Mnóstwo osób przybyło już na dworzec, pokupowało bilety i opłaciło pakunki podróżne.

Tuż przed terminem odejścia pociągu nadeszły telegramy o zaspach śnieżnych na wielu punktach linji Lwów Kraków, szczególnie zaś pod Gródkiem, gdzie jak wiadomo droga wąwozem idzie, i gdzie potworzyły się takie tamy, że ich na prędce żadna siła przebić nie zdoła. W skutek tego oznajmił zarząd kolejowy podróżnym, że kasa zwraca pieniądze za kupione bilety. Oczywiście *nec Hercules contra plures*, publiczność zebrana na dworcu, odebrała pieniądze i pakunki i wróciła do miasta. Mimowoli nasuwa się myśl, ile to spraw może największej wagi dla interesowanych rozbiło się, ile projektów poniosło szwank. Niejedna podróż ze względów familijnych przedsięwzięta, nie przyszła do skutku; oczekiwani nie jawili się na miejscu przeznaczenia; ludzie o nieskazonym honorze stali się niesłownymi; lekarze wzywani może do dania pomocy w naglących wypadkach, nie mogli przyjść z ulgą i pocieszeniem strapionych... Niestety!

Tymczasem ku wieczorowi burza srożyła się z coraz to większą gwałtownością. Już żaden z pociągów ze Lwowa nie wyszedł, ani pospieszny do Krakowa, ani inne, czy to w kierunku do Podwołoczysk czy do Czerniowiec. Na linji Jarosław-Sokal jeszcze wczoraj zrana ruch wstrzymano zupełnie, a zapewne i na innych linjach kolei galicyjskich komunikacja przerwaną została.

Wyobrażamy sobie położenie mieszkańców na prowincji. Listy, dzienniki, przesyłki — wszystko zalega biura pocztowe. Stagnacja niemal kompletna. Tylko tętniący w „drucianych“ arterjach prąd elektryczny utrzymuje jeszcze jako tako życie komunikacji ze światem. Dla osób związanych na większą skalę interesami z zagranicą, dla ludzi, którzy „umierają“ nie mając codziennej strawy nowin politycznych i rozumowań prasy — pozycja nieszczególnie miła, ale już najmilsza pono dla dziennikarza lokalnego, odciętego ze wszech stron od świata i ograniczonego na nasz miły bruk lwowski, na którym rzadko kiedy co ciekawego wyrasta, a cóż dopiero pod wpływem tak fatalnej aury!!

Najgwałtowniej srożyła się wczoraj burza wieczorem między 6 a 9 godziną. Straszliwy demon wichrów ekwinokcjalnych odstraszył wielu amatorów teatru od oglądania „Niebieskich ptaków“ na scenie skarbkowskiej, mimo to fruwały one sobie po teatrze z humorem i werwą zazdrości godną.

Około godziny 7 wieczorem ruch w mieście prawie że ustał zupełnie, sklepy pozamykano. Rzadki przechodzeń, mimo że party ogromną siłą wiatru, zdolną uskrzydlić człowieka, posuwał się z wolna, ostrożnie i trwożliwie po miejskich trotuarach, spodziewając się lada chwila, że albo sam padnie na bruk, albo że mu na głowę runie jaka ozdoba urozmaicająca styl budownictwa lwowskiego, w formie szyldu z butem, albo opasłą figurą Bachusa.

A propos tego ostatniego, właściciele restauracyj i tingl-tanglów chodzili wczoraj, mimo dość niskiej temperatury, jak powarzeni. „Doborowe i urozmaicone programy“ — a i niemniej urozmaicone wszelkiemi zakazanemi domieszkami napoje — nie mogły zabłysnąć w całej swej okazałości, w dusznej atmosferze przybytków podkasanej Muzy — albowiem zaproszona P. T. publiczność w znacznej części pozostała w domu. Może to niejednemu i na dobre wyszło.

Późnym wieczorem wichry jakby strudzone, na chwilę przestały wyprawiać szalone harce z tumanami śniegu, ale około północy z dziką jakąś ochotą zaczęły szaleć na nowo. Był to istny karnawał wichrów. Poetom mogła się przywidzieć „Noc Walpurgi“, a biednym śnić widmo cichego ciepłego domowego ogniska..

I dziś od rana trwają wicher, zamieć, burza śnieżna dalej. Temperatura podniosła się rano do zera, termometr idzie w górę, ale jeszcze Eol się nie zmiłował nad nami, nie zamknął rozhukanych wiatrów na powrót do swego wora, wskutek czego do tej pory nie mamy ani dzienników ani korespondencyj, a za to nadzieję, że wskutek ślizgawicy będzie sporo smutnych wypadków.

Nie pocieszające wcale.

Pobyt ks. metropolity Sembratowicza w Rohatynie. W sobotę rano wyjechał ks. metropolita koleją żelazną do Bursztyna, dokąd przybył o g. 8½. Na dworcu kolejowym powitała ks. Sembratowicza deputacja duchowieństwa, której imieniem przemawiał ks. Moch. Ks. metropolita podziękowawszy uprzejmie za względy i życzliwość zamieszkał w domu proboszcza bursztyńskiego ks. Winnickiego.

Po obiedzie, który się odbył o g. 4 po południu, wyjechał dostojny gość ponownie do Rohatyna, gdzie zgromadzili się licznie reprezentanci władz politycznych i autonomicznych, obywatelstwo, duchowieństwo, inteligencja i lud z okolicy. U bramy tryumfalnej powitał ks. metropolitę piękną przemową starosta rohatyński, następnie przemawiał imieniem miasta burmistrz, witając ks. metropolitę chlebem i solą, (obaj przemawiali po polsku) a jeden z mieszczan powitał dostojnego gościa ruską przemową. Poczem udał się ks. metropolita do kościoła łacińskiego, gdzie udzielił zgromadzonym biskupiego błogosławieństwa. Z kościoła ruszył cały pochód do cerkwi w Babińcach, skąd po odprawieniu krótkich modłów, udał się ks. metropolita do mieszkania ks. Czyrowskiego, proboszcza w Babińcach. W niedzielę o g. 9 rano odprawił dostojny gość w asyście licznego kleru mszę św. a w południe dnia tego odbył się u ks. Czyrowskiego proszony obiad, na który przybyli marszałek powiatowy p. Torosiewicz, starosta rohatyński, naczelnik sądu hr. Dzieduszycki, duchowni z okolicy i wiele inteligencji. W poniedziałek rano wyjechał ks. metropolita z Babiniec do Lwowa, dokąd przybył wieczorem pozostawiając po sobie w Rohatynie jak najmilsze wspomnienie.

Rocznica zgonu Kraszewskiego obchodzoną będzie we Lwowie dnia 20 b. m. Inicjatywę w urządzeniu tego obchodu wzięło Koło literacko-artystyczne.

Przed południem d. 20 b. m. odbędzie się w kościele katedralnym żałobne nabożeństwo a wieczorem urządza Koło w wielkiej sali ratuszowej uroczysty obchód, urozmaicony bogatym programem.

Nekrologja. Marja Rodek, właścicielka realności, zmarła wczoraj we Lwowie w 77 roku życia.

Bolesława, córka Jozefa i Ludwiki Sołtysów, zmarła wczoraj we Lwowie w 3 wiosnie życia.

Emilja z Morgenbesserów Smolechowska, zmarła wczoraj we Lwowie w 75 roku życia.

W galicyjskiej krajowej szkole gospodarstwa lasowego we Lwowie odbędą się egzamina z końcem I półrocza 1887/8 w porządku następującym:

Na kursie pierwszym: Dnia 10 marca z chemji nieorganicznej, 13 z matematyki, 15 z ochrony lasu, 17 z zoologji ogólnej, 20 z fizyki, 22 z botaniki, 24 z geognozji.

Na kursie drugim: Dnia 12 marca z cięciu lasu, 14 z meteorologji i fizjologji roślin, 16 z zoologji leśnej i znajomości ustaw, 19 z miernictwa, 21 z inżynierji leśnej i matematyki zastosowanej, 23 z pozyskania płodów leśnych i łowiectwa.

Egzamina odbywać się będą przed południem od 9 do 1 po południu od 3 do 7.

VI poufne zebranie leśników odbędzie się we czwartek 15 bm. o godzinie 6 wieczorem w sali dyrekcji domen i lasów przy ul. Kopernika 20.

Zebrania te urządza w półroczu zimowem wydział Towarzystwa leśnego galic., jednak na zebrania te mogą uczęszczać i niezłonkowie Tow. leśnego.

Mieszkańcy ulicy Leona Sapiehy uskarżają się nieustannie na dotkliwy brak wody. Od studni św. Łazarza po szpitalik św. Zofji jest ledwie około gmachu politechniki jedna studnia dawnej konstrukcji. Woda w tej studni zamarza w czasie listopadowych mrozów, a zresztą jest ona zupełnie do nieużycia w skutek przesycenia solami wapiennemi. Mieszkańcy więc domów naprzeciwko techniki muszą posyłać po wodę albo do studni św. Łazarza albo aż na targowisko gródeckie.

Czyby też magistrat nie zechciał załatwić tej piekącej kwestji dla mieszkańców tej okolicy? A zaradzićby temu należało tem rychlej, iż w razie pożaru wodę sprowadzaćby trzeba było z miejsc oddalonych o kilkaset kroków.

Dezercja. W tych dniach zdezerterował cały szwadron francuskich strzelców w St. Michel. — Po ośmiu godzinach odnaleziono wszystkich zbiegów, którzy jako powód dezercji podają zbyt surowe obchodzenie się przełożonych.

Z statystyki wojskowej. Świeżo ukazał się wydawany z polecenia ministerstwa wojny: „Wojskowo statystyczny rocznik za r. 1886."

Poucza on między innemi o fakcie dla nas ważnym, bo zaprzeczającym dość upowszechnionej w ostatnich czasach opinji o fizycznej degeneracji ludu naszego, dowodząc cyframi, że liczba popisowych u nas nie tylko się nie zmniejsza, lecz z roku na rok zwiększa się, chociaż w nieznacznym względnie stosunku. Mianowicie z kontyngensu powołanej do poboru młodzieży galicyjskiej w r. 1886, przypadło na tysiąc: 42 czasowo uwolnionych, 737 takich, których z powodu wad lub ułomności musiano wykreślić z list poborowych, a 177 uznano za zdolnych do wojska (44 nie stawiło się). Jakkolwiek powyższe cyfry mogą się przedstawiać wynikiem niepomyślnym, wcale jednak nie są one gorsze od cyfr przedstawiających wynik poboru w innych prowincjach Austrji, są zaś lepsze niż w r. 1885 i 1884, w których liczbą wykreślonych z list poborowych wynosiła 780 i 802. Liczba tych, którzy nie posiadają minimalnej miary piersi obniża się co roku bardzo znacznie. Co się tyczy intelektualnego rozwoju popisowych, to z zadowoleniem daje się spostrzegać z „Rocznika", iż poziom umysłowy między nimi coraz się podnosi.

Zakład kąpielowy „Theresienbad" w Eichwald koło Cieplic w Czechach, objął w tym roku w swój zarząd dr. Stanisław Kuryś, dawniej asystent na klinice chorób wewnętrznych w Krakowie, następnie praktykujący dłuższy czas w Paryżu i Berlinie. Zakład leży po stronie austrjackiej na granicy saskiej, w uroczej „saskiej Szwajcarji". Urządzony z wielkim konfortem, wszakże dla pacjentów, potrzebujących kuracji hydropatycznej nie droższy jak inne tego rodzaju zakłady. Dla ziomków naszych wielką to może być wygodą, że spotkają się w zakładzie z lekarzem Polakiem i dla tego zwracamy na ten zakład uwagę.

Z Izby sądowej. Nadużycia w lwowskim urzędzie cłowym.

Świadek p. Roman Jabłonowski, radzca krajowej dyrekcji skarbu prowadził skarbowe śledztwo przeciw oskarżonym. Śledztwo wytoczone było przeciw wszystkim urzędnikom, lecz gdy poszlaki wykryte przemawiały tylko za winą Karpa i tow., odstąpiono więc prokuratorji akta śledcze tylko przeciw tym urzędnikom, którzy obecnie na ławie oskarżonych zasiadają. Zeznaje też świadek, iż po wykryciu kontrabandy Koppel Rappaport przeniósł swój cały majątek na imię syna, mieszkającego stale we Wiedniu. Koppel wzywany w tej sprawie przez prokuratorję wiedeńską tłumaczył tę okoliczność tem, że wskutek wdrożonego przeciw niemu śledztwa karnego, stracił kredyt i nie mógł sprostać żądaniom wierzycieli. Wtedy syn jego oświadczył, że gdy Koppel przeniesie na niego cały majątek, to on zaspokoi wszystkich wierzycieli.

K. Rappaport też tak postąpił, wskutek czego skarb stracił wszelkie źródła na pokrycie kary, gdyż wartość towarów (dwa tysiące kilkaset złr.) wystarcza zaledwie na pokrycie należytości cłowej.

Na zapytanie przewodniczącego dlaczego nie przyaresztowano towarów Rappaporta, które miał w magazynie dnia 16 stycznia, odpowiada p. Jabłonowski, że o tych towarach wcale nic nie wiedział i że było obowiązkiem Petryego, jako naczelnika urzędu cłowego, towary te przytrzymać i odnieść się w tym względzie do p. nadradzcy Moscha.

Świadek Wasyl Hołduń zaprzecza stanowczo jakoby mówił kiedy do Kwaśniewskiego, „że na kolei urzędnicy s e k i r u j ą, a na komorze to nie, nawet nie oglądają towarów." Przy konfrontacji obaj trwają przy swoich zeznaniach, a Kwaśniewski twierdzi nadto, że towar, przywieziony tego dnia przez Hołdunia dla apteki Ruckera nie był wcale rewidowany.

Abraham Raps, kolega Karpa z kaźni zeznaje, że Karp mu mówił, „siedzę już 9 miesięcy, a nie wiem za co, jeżeli co było to ja temu nie winien i cierpię za darmo; czemu urzędników nie zamykają, ot ze żydem robią co się im podoba."

Menasche Berger, towarzysz Karpa z „becyrku" zeznaje podobnie jak Raps, dodając, że gdy wychodził z więzienia to Karp dał mu 2 kartki dla żony. Co one jednak zawierały tego świadek nie wie.

Abraham Ludmeier, kupiec „z mięszanym towarem" podaje, że od Kopla Rappaporta otrzymał po 7 stycznia 1500 złr. do przechowania, ale dlaczego on mu tę kwotę dał, tego Ludmeier nie umie wytłumaczyć ani sobie ani sądowi.

Świadkowie Martini, Chiger, Kalisch nie podają żadnych nowych szczegółów, tylko dwaj ostatni widzieli, jak Karp z p. o b e r j ä g r e m (oberaufseher-nadstrażnik) chodzili razem na wódkę.

P. Frey, kasjer przy urzędzie cłowym zeznaje stanowczo, że d. 7 stycznia Rappaport nie płacił do godziny 12 w południe żadnego cła, a deklarację przedłożył Paszczyński dopiero po godzinie 3 po południu.

Leśkow, zaprzysiężony tragarz, podaje bardzo niejasne i chwiejne odpowiedzi i w obec tego, że nie umiał Trybunałowi opowiedzieć bliższych szczegółów o opakowaniu i rozpakowaniu towarów Rappaporta, uchwalił Trybunał, mimo sprzeciwienia się obrony, odczytać zeznania Leśkowa złożone w śledztwie skarbowem.

W sprawie defraudacji popełnionej w tutejszem Towarzystwie zaliczkowem dowiadujemy się następujących szczegółów:

Rada nadzorcza Towarzystwa otrzymawszy sprawozdanie Dyrekcji o wykryciu defraudacji powołała p. Władysława Terenkoczego, sekretarza Związku stowarzyszeń, do zbadania bilansu Towarzystwa za lata 1885, 1886 i 1887 i delegowała go jako swojego zastępcę do współdziałania z Dyrekcją do czasu wyboru nowej Dyrekcji. Wybrała równocześnie komisję śledczą celem wykrycia winnych.

Komisja ta, zebrawszy się po raz pierwszy przed kilku dniami, zaprosiła jako rzeczoznawcę p. Dymitra Koczyndyka, naczelnego buchaltera Kasy Oszczędności, aby zbadawszy fałszowane księgi Towarzystwa wykazał, kto jest przypuszczalnie winnym i na kim cięży odpowiedzialność karygodnego zaniedbania, że defraudacje popełniane w latach 1885 i 1886 nie zostały odkryte przy układaniu bilansów za te lata, lecz dopiero przypadkowo wykazały się przy sporządzaniu bilansu za r. 1887.

Po przedłożeniu tego sprawozdania przez p. D. Koczyndyka będzie komisja badała obwinionych i przedstawi Radzie nadzorczej swoje wnioski, jak ukarać winnych.

Jak już wzmiankowaliśmy defraudacja odnosi się do roku 1885, w którym skradziono 11.000 zł., i do roku 1886, w którym znów zniszło z kasy Towarzystwa 9.000 zł.

Od tych, którzy zbliska musieli się teraz dotykać tej brzydkiej sprawy, dowiadujemy się, że defraudację popełniono przy reeskoncie portfelu w Kasie oszczędności, nie oddając do kasy Towarzystwa albo całej inkasowanej gotówki, lub oddając tylko jej część.

Z wyrafinowanym sprytem i widocznie ufając niedbalstwu organów powołanych do kontroli, zbrodnicza ręka starała się zatrzeć ślady swego niecnego postępowania w księgach kasowych i buchalteryjnych Towarzystwa, fałszując w nich liczby, a nawet fałszując je w inwentarzach dołączanych do bilansów.

Pomimo tego, niepodobna sobie wytłumaczyć, jakim cudem defraudacje, popełniane wielokrotnie przez dłuższy czas, obok porządnie zorganizowanej kontroli rachunkowej, obok nadzoru Dyrekcji, w której przechowaniu był portfel i obok perjodycznych rewizyj kasy Towarzystwa przez komisję kontrolującą, mogły tak długo być utajone i nie wyszły na jaw przy pierwszej próbie.

Stąd więc nauka na przyszłość, że jeśli zgubnym jest dla instytucji finansowej brak wszelkiej systematycznej i umiejętnej kontroli, to równie niekorzystną jest kontrola pozorna, wykonywana byle jak, jedynie dla formy. Że zaś tak się działo w Towarzystwie, utrzymują jednozgodnie liczne głosy, twierdząc stanowczo, że portfel, zawierający majątek Towarzystwa, zamiast być przechowywanym pod kluczem jednego z dyrektorów, przez godziny urzędowania leżał w miejscu niezamkniętem i dla wszystkich urzędników przystępnem; że Dyrekcja przy szkontrach kasy nie porównywała zawartości portfelu z kwotami wykazanemi przez księgi kasowe; że wreszcie miesięczne rewizje kasy przez komisję kontrolującą były jeno formalistyką na to, aby stało się zadość literze regulaminu.

I stąd również druga przestroga na przyszłość, jak oględną być musi każda instytucja finansowa w doborze personalu urzędniczego, jak ważnym dobór ludzi nietylko fachowo wykształconych, ale wypróbowanej uczciwości, stwierdzonej nieposzlakowaną przeszłością, jak potrzebną pewna karność utrzymywana przez wyższe władze i ściśle, systematyczne rozdzielenie czynności między funkcjonarjuszy z uczynieniem ich odpowiedzialnymi za poruczone im agendy.

A tego właśnie nie było w Towarzystwie, gdzie bardzo często w przeciągu jednego dnia trzech urzędników mieniało się przy prowadzeniu kasy, a co chwila kto inny obejmował likwidaturę; gdzie wszyscy wyręczali się nawzajem i mięszali własnowolnie porządek urzędowy; gdzie buchalter stawał przed kasą, a urzędnik kasowy prowadził w tym czasie księgi rachunkowe, i gdzie Dyrekcja z apatją iście turecką przypatrywała się tym nieporządkom

Spodziewamy się, że nauki te nie pójdą na marne, ale na walnem zgromadzeniu członków Towarzystwa, które ma się odbyć przy końcu bieżącego miesiąca będą podniesione i zaważą na szali przy wyborach, które staną na porządku dziennym tego dorocznego zebrania.

Tuszymy sobie, że choć teraz po bolesnej nauczce, wyborcy nie pójdą ślepo za narzucanemi im kartkami wyborczemi, ale wyborem z własnej inicjatywy dadzą dowód, że nie są małoletnimi.

Nie chcemy wcale bawić się w proroków, lecz pilnym czytelnikom naszego pisma przypominamy, że my to byliśmy pierwsi, którzy uderzaliśmy na alarm przed upadkiem Banku zastawniczego, i my pierwsi i jedyni ostrzegaliśmy zarząd b. Towarzystwa spożywczego przed zwodniczemi nadziejami niemożebnej naszem zdaniem sanacji, a domagaliśmy się natychmiastowej likwidacji.

Fakta stwierdziły, że mieliśmy zupełną słuszność i że uchylenie naszych życzliwych rad pogrążyło b. Towarzystwo spożywcze w większą mizerję a członkom jego wyrządziło znaczne szkody.

Dalecy jesteśmy stawiać Towarzystwo zaliczkowe na równi i podobieństwo tych upadłych instytucyj i zanadto dobrze znamy siły żywotne jego, aby nawet na chwilę przypuścić, że strata kilkudziesięciu tysięcy może je doprowadzić do upadku, lecz chcielibyśmy je widzieć zorganizowanem należycie i oddanem pod kierunek wytrawnej dyrekcji posilkowanej doborowym personalem urzędniczym.

Za przykład niech służy Towarzystwo zaliczkowe urzędników, pracujące bez blagi i reklamy a dziś najpotężniejsze z ogółu stowarzyszeń naszej stolicy.

Idąc za tym przykładem, Towarzystwo zaliczkowe łatwo przeboli straty, wzmocni zaufanie ku sobie publiczności bez różnicy jej zapatrywań politycznych i stanie się tem czem być powinno, tj. zakładem powszechnej i skutecznej działalności, ale nie f a k c y j n y m organem pewnych prądów społecznych.

Z Dyrekcji kolei Karola Ludwika otrzymujemy następujące pismo:

Na kolei Karola Ludwika panowała w ciągu wczorajszego dnia niebywała burza połączona z taką śnieżycą, że ruch pociągów na przestrzeni od Przemyśla aż do Brodów i Podwołoczysk musiał być zupełnie zastanowiony.

Wczorajszy pociąg krakowski Nr. 7 doszedł tylko do Krasnego i musiał tam być zatrzymany, zaś pociąg z Podwołoczysk i Brodów Nr. 8 przyszedł wprawdzie do Lwowa około godziny 10 wieczór, ze Lwowa jednak nie odszedł ani po południu, ani w nocy żaden pociąg ani w kierunku do Krakowa ani też do Podwołoczysk lub Brodów.

Przywrócenie ruchu pociągów na linji Lwów-Przemyśl jest wskutek ciągle jeszcze szalejącej śnieżycy, jakoteż wskutek wielkich mas śniegu, nagromadzonych na tej przestrzeni — niemożliwe i dlatego też kursować nie będą ani dzisiejsze popołudniowe, ani też dzisiejsze nocne pociągi na tej linji.

Czy ruch ten pociągów będzie mógł być jutro na nowo zaprowadzonym, napewno jeszcze dziś oznaczyć nie można.

Co się tyczy linji Lwów-Brody-Podwołoczyska to przerwa komunikacji na tej linji potrwa prawdopodobnie parę dni.

O niezwykłem samobójstwie młodego podporucznika Bielanowskiego donoszą z Płocka. W ubiegły wtorek pan B. przyjmował u siebie w mieszkaniu liczne grono znajomych i kolegów. Nagle, w chwili najbardziej ożywionej rozmowy, oświadcza zebranym tonem lekkim i swobodnym, że powziął stanowcze postanowienie odebrania sobie życia. Obecni przyjęli to za żart, a gdy B. wezwał jednego z kolegów do pisania testamentu, ten chętnie usłuchał. Gospodarz podyktował w krótkości ostatnią swą wolę, położył podpis, a następnie, pochwyciwszy rewolwer, zawołał: „Bywajcie zdrowi, na tamtym świecie?" Z temi słowami wybiegł na ulicę i zanim obecni zdołali się zorjentować, dał się słyszeć wystrzał. Młodzieniec na środku ulicy strzelił do siebie i na miejscu pozbawił się życia. Przyczyna samobójstwa nikomu nie jest wiadomą.

Zwłoki c. k. żandarma, Józefa Aleksandra Kamińskiego, odszukano w tydzień po jego zniknięciu w śniegu na polu między Mogielnicą a Laszowcami, w powiecie trembowelskim Z dokonanych oględzin zwłok okazało się, że Kamiński padł ofiarą morderstwa. Mianowicie w głowie nieszczęśliwego znaleziono dwie kule. Sprawcy tej zbrodni, jak wiadomo, są uwięzieni.

U dra Morella Mackenziego. W dzielnicy Londynu zwanej Harley Street, dzielnicy t. zw. „lekarskiej", obok domów zamieszkałych wyłącznie przez adeptów Eskulapa stoi też dom znanego specjalisty Mackenziego.

Po zakołataniu do bramy otwiera ją długi i chudy odźwierny i wskazuje drogę do sal recepcyjnych — W elegancko urządzonym przedsionku zdobi ścianę piękna akwarela pędzla niemieckiej następczyni tronu, darowana Mackenziemu w dowód łaski i wdzięczności. Szerokie dywanami pokryte schody prowadzą na pierwsze piętro, gdzie się znajdują trzy wielkie przepysznie urządzone sale recepcyjne. Honorarjum najmniejsze jakie można złożyć Mackenziemu, wynosi 2 gwineje czyli 26 zł. — Bogaci i szlachta płacą za pierwszą konsultację do 5 gwinei (65 zł.), każda następna konsultacja kosztuje połowę honorarjum za pierwszą złożonego.

Ponad fortepianem, używanym przez Mackenziego do badania głosu spiewaków i spiewaczek licznie go odwiedzających, znajduje się portret niemieckiego następcy tronu w mundurze kirasjera; nad kominkiem umieszczony jest portret małżonki niemieckiego następcy tronu, na stole zaś na środku pokoju stoją fotografje księżniczek Wiktorji, Zofji i Małgorzaty, każda zaopatrzona podpisem własnoręcznym dostojnej pani, którą fotografja przedstawia. Ozdobą sali konsultacyjnej jest krzyż z XVI wieku, pięknie rzeźbiony, który następczyni tronu kupiła niegdyś w Tyrolu u handlarza pomnikami starożytnemi.

Mackenzie jest mężczyzną wysokiego wzrostu, szczupły, nosi bokobrody; cała postać jego zdradza na pierwszy rzut oka pochodzenie szkockie. Z oczu jego przemawia energja, inteligencja i uprzejmość zyskująca sympatję każdego chorego. Przymioty narodowości szkockiej: oszczędność, pilność i przywiązanie do swej rodziny są u Mackenziego silnie rozwinięte i opowiadają o nim powszechnie, że jest dobrym synem, mężem i ojcem. — Cieszy on się szczególną sympatją królewskiego domu, arystokracji i inteligencji angielskiej; nieprzyjaźnie usposobieni dlań są jedynie konkurenci między lekarzami i ci którzy mu zazdroszczą mamony, zarobionej przecie jedynie pracą uczciwą.

Konkurs dla architektów. Republika argentyńska rozpisała konkurs na projekt budowy gmachu dla kongresu argentyńskiego. O nagrodę ubiegać się może każdy architekta bez względu na narodowość lub wyznanie. Na budowę preliminowano 15 milj. zł. Pierwsza nagroda wynosi 50.000 zł, druga 20.000 zł. trzecia 10.000 zł. a dalsze trzy po 5000 zł. Niechże więc nasi architektowie biorą się do dzieła.

Lawiny w Szwajcarji. Urocza Szwajcarja, której piękność głosiło tylu poetów i artystów, jest dzisiaj widownią licznych katastrof, które spowodowała tegoroczna śnieżna a mroźna zima. Olbrzymie lawiny śnieżne staczają się z niebotycznych wierzchołków gór i powodują ogromne szkody. Gazety tameczne przepełnione są smutnemi wieściami z Szwajcarji.

W Entremont i St. Pierre lawiny poniszczyły mnóstwo domów i zabiły wiele bydła. W dolinie Colla lawina zgniotła oborę z bydłem, w której właśnie byli stary pasterz ze synem, Obydwaj zginęli. — W Giormeo porwała z sobą lawina dwa młode dziewczęta i zrządziła ogromne we wsi szkody. Cała wieś Selma leży w śniegu, i szczęście, że mieszkańcy zawczasu ostrzeżeni, zdołali z pomieszkań ujść wraz z dobytkiem. — W Saas lawina zniszczyła kościół, przyczem dwie kobiety śmierć poniosły. — Przesmyk Simplon jest dzisiaj zasypany, komunikacja kolejowa zupełnie przerwana, a poczta tylko z trudnością kursować może. Dnia 24 z. m. wóz pocztowy musiał z powodu zasp dwa dni spędzić w budce strażniczej i dopiero robotnicy odkopali go z tego śnieżnego grobu.

We Włoszech również lawiny śnieżne w tym roku wywołują olbrzymie spustoszenia. Onegdajsze depesze przyniosły wiadomość, że w Ribordone lawina zasypała sześć rodzin; w Pinerola zniszczyła kilkanaście domów, przyczem 9 osób postradało życie, a w Cairo i w Cantoiro koło Turynu 26 osób poniosło śmierć pod śniegami lawiny.

Literatura i Sztuka.

* . **Z Pragi czeskiej** nam piszą:

Nowy dramat czeskiego dramaturga Schuberta, autora znakomitych dramatów, jak: „Vok z Rożinberka", „Probuzenci", „Jan Vyzara", — pod tytułem „Laska Raffaelova (Miłość Rafaela)" został wreszcie na dniu 24 lut. go rb. w tutejszym narodowym teatrze wystawionym.

Staranność, z jaką nowy ten utwór wystawiono, nie pozostawiła nic do życzenia. Sam zaś dramat zainteresował nadzwyczaj publiczność tutejszą, spodziewano się bowiem ujrzeć dzieło o skrajnie wolnomyślnych tendencjach, autor tymczasem wystąpił z czystym obrazem włoskiego renesansu. Dzieło samo wyrzeźbione z nadzwyczajną drobiazgowością na tle życia z XVI stulecia, odznacza się barwnym i pięknym językiem i z życiową prawdą przeprowadzoną intrygą; treścią zaś jego są miłostki Rafaela, które wreszcie nikną jak bańki mydlane przed uczuciem prawdziwej miłości, jaka sercem mistrza pędzla zawładnęła.

Dziełem tem przysporzył autor prawdziwą perłę dramatycznej narodowej literaturze czeskiej. *(L. D.)*

Część ekonomiczna.

= **Sprawozdanie** z posiedzenia krakowskiej Izby handlowo-przemysłowej z dnia 22 lutego 1888.

Po załatwieniu wstępnych formalności zabiera głos prezes Izby p. Baranowski i podnosząc doniosłe znaczenie uroczystego obchodu i godnego uczczenia 40-letniej rocznicy panowania cesarza Franciszka Józefa wzywa Izbę do wyboru komisji, któraby się tą sprawą zajęła i na następnem posiedzeniu pełnej Izby wnioski przedłożyła Przemówienie to znalazło żywy poklask całej Izby i uchwalono jednomyślnie uprosić prezesa Izby, aby wspólnie z wice-prezesem p. Mendelsburgiem i kierownikiem biura Dr. Weiglem na marcowe posiedzenie Izby stosowne wnioski przygotowali. Następnie sekretarz Izby Dr. Leo, jako sprawozdawca komisji kontrolującej, przedstawił wynik skontra funduszów przez Izbę administrowanych. Z tego okazuje się, że fundusz obrotowy Izby wynoszący z końcem r. 1886 w gotówce 969 złr. $25\frac{1}{2}$ ct. a. w. z końcem r. 1887 doszedł do kwoty 1603 złr. $13\frac{1}{2}$ ct. w gotówce i 1350 zł. w książeczce krakowskiej kasy oszczędności. Fundusz emerytalny wynoszący z końcem 1886 r. 9600 złr. m. k w galic. oblig. indemn. 1300 zł. wreszcie srebrnej 300 złr. w rencie papierowej, 20 losów krakowskich, 2 losy austr. czerw. krzyża, 1 los węg. czerw. krzyża i 216 złr. $44\frac{1}{2}$ ct. w gotówce, z końcem r. 1887 doszedł do kwoty 9300 złr. m. k. w galic. obl. indem. 1300 złr. w rencie srebrnej, 2400 złr. w rencie papierowej i 188 złr. 42 ct. w gotówce. Fundusz wreszcie akademji handlowej wynoszący z końcem 1886 roku 3500 złr. m. k. w galic. obl. indemn. 26 losów krakowskich 250 złr. w rencie srebrnej, 200 złr. w rencie papierowej 1 los austr. i 1 los węg. czerw. krzyża i 26 złr. 87 ct. w gotówce doszedł z końcem r. 1887 do kwoty 3400 zł. m. k. w galic. obl. indemn. 350 złr, w rencie srebrnej, 1100 złr. m. k. w rencie papierowej i 46 ct. w gotówce.

Komisja zbadawszy stan kasy i księgi kasowe wraz z dowodami rachunkowomi wnosi, aby p. wice-prezesowi Izby Albertowi Mendelsburgowi za r. 1887 udzielić absolutorium, a zarazem za gorliwe i bezinteresowne prowadzenie kasy Izby wyrazić podziękowanie, co Izba uchwala.

Szef biura Dr. Weigel przedstawia dalej zażalenie członka Izby p. Biechońskiego donoszącego, że kolej transwersalna od towarów z powodu przerw komunikacyjnych nie ekspedjowanych domagała się opłaty składowego, wskutek czego wysyłający oprócz zwłoki ponosić muszą dalszą stratę. Po przemówieniu p. Libana, który wyjaśnił, że policzenie składowego, mogło chyba nastąpić przez pomyłkę, uchwalono uprosić p. Dr. Weigla, aby sprawę tę przedstawił ustnie Dyrekcji ruchu kolei państwowej w Krakowie.

Następnie uchwalono stosownie do wniosku referenta sekretarza Dr. Leo oświadczyć się za udzieleniem miastu Żywiec koncesji na 2 jarmarki przed świętami Wielkanocnemi i Bożego Narodzenia odbywać się mające.

Resztę posiedzenia zajęło sprawozdanie referenta p. Juljusza Epsteina, o projekcie ustawy o handlu obnośnym i dyskusja nad tem sprawozdaniem przeprowadzona. Referent był zdania, że ograniczenia i obostrzenia w projekcie zawarte, nie zgadzają się z zasadą wolności handlowej i że dlatego przepisy dotychczasowej ustawy zachowane i nawet w kierunku większej swobody rozszerzone być winny. Wice-prezes Mendelsburg, radzca Poller i sekretarz Dr. Leo stanęli natomiast w obronie projektu upatrując w jego przepisach korzyść dla krajowego kupiectwa. W końcu uchwalono oświadczyć się za zniżeniem wieku minimalnego domokrążcy z 35 lat na 30, a przy pomocnikach z 30 na 24 z tem dołożeniem, że pomocnicy wykazać się winni tylko świadectwem moralności właściwej gminy Uchwalono też oświadczyć się za wykreśleniem końcowego ustępu § 14 zabraniającego domokrążcom osobistej interwencji przy przywozie znaczniejszej „partji" towaru do handlu obnośnego przeznaczonego. W końcu uchwalono oświadczyć się za przyznaniem szczególniejszych ułatwień dla wyrobów przemysłu domowego, a mianowicie dla wyrobów ślusarskich, koronek, płótna, czapek, wyrobów drzewnych i t. d.

= **Wyrób wódki w Galicji.** W miesiącu grudniu r. 1887, w 567 gorzelniach wywarzono ogółem 4,427.584 opodatkowanych stopni alkoholu. Największa ilość gorzelni była w ruchu w powiecie skarbowym tarnopolskim 122, w których wywarzono 1,154.049 opodatkowanych stopni alkoholu, następnie w brodzkim 93 (246.482), rzeszowskim 61 (378.449), przemyskim 61 (519.267), tarnowskim 47 (238.101), sanockim 45 (247.459), stanisławowskim 32 (302 753), krakowskim 31 (137 807), kołomyjskim24 (265.128½), lwowskim 23 (171 437½), samborskim 19 (128 371) nowosądeckim 9 (38 278½).

= **Wyrób piwa w Galicji.** W miesiącu grudniu r. 1887 ogółem było w ruchu 160 browarów galicyjskich, w których wywarzono 48.205 hektolitrów piwa. Najwięcej browarów, bo 25, było w ruchu w powiecie skarbowym brodzkim 4786 hekt. piwa; następnie w powiecie skarbowym rzeszowskim 24 (4960 hektolitrów), w przemyskim 19 (4638 hekto.), w tarnopolskim 17 (5246 hekt.), w sanockim, krakowskim i stanisławowskim po 12, w pierwszym powiecie wywarzono 2148 hekt., w drugim 5138 hekt., a w trzecim 4167 hekt.), w nowosądeckim 12 (2510 hekt.), we lwowskim 9 (3031 hekt.), w tarnowskim 8 (7486 hekt.), w samborskim 7 (2733 hekt.), w mieście Lwowie 4 (9050 hekt.,) w powiecie skarbowym kołomyjskim 4 (1362 hekt.), w mieście Krakowie 3, gdzie 2962 hektolitrów piwa wywarzono.

= **Produkcja i sprzedaż soli.** W miesiącu grudniu roku 1887 wynosiła produkcja soli w Galicji 120.459 centn. met., sprzedaż zaś 105.292 c. m. — W tym samym miesiącu r. 1886 wynosiła produkcja 98.869 c. m., sprzedaż zaś 87.512 c. m. Z porównania wypływa, iż w miesiącu grudniu 1887 wyprodukowano o 20.590 c. m. więcej, a sprzedano o 17.780 c. m. więcej niż w tym samym miesiącu 1886.

= **W cukrowni** w Sędziszowie oznajmiono do opodatkowania 3,911.823 c. m. buraków surowych.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 8 lutego. W komisji budżetowej oświadczył reprezentant rządu, radzca ministerjalny Walach na odnośne zapytanie, że przeprowadzono energiczne rokowania z rządem węgierskim w sprawie zniżenia cen soli i zaprowadzenia sprzedaży soli bydlęcej. Rząd węgierski dał ostatecznie odpowiedź, że ze względów na zły stan finansów zniżenie cen soli jest niemożliwe.

Co zaś do sprzedaży soli bydlęcej zrobiono rządowi konkretne propozycje, a mianowicie chciano przyjąć cenę 4 zł. za cetnar metryczny i ustanowić 3 do 6 kilogramów na sztukę bydła.

I tę propozycję odrzucił rząd węgierski.

Berlin 8 lutego. *Reichsanzeiger* donosi, że u cesarza od niedzieli wieczora do ogólnych objawów przeziębienia, wyrażającego się silnem zajęciem błony śluzowej w krtani i zapaleniem błony śluzowej na powiekach, przyłączyły się w następnych dniach bolesne, często powtarzające się cierpienia pęcherzowe. Od wczoraj i apetyt znacznie się zmniejszył, w skutek czego nastąpił znaczny ubytek sił.

Londyn 8 marca. Przeważna część dzienników porannych jest zdania, że notyfikacja nielegalnego stanowiska Koburga w Bułgarji zmusi księcia niebawem do opuszczenia tego kraju. Dzienniki te zaznaczają jednak, że po wyjeździe Koburga kwestja bułgarska przybierze postać jeszcze bardziej niebezpieczną. *Standard* daje do zrozumienia, że Austro-Węgry, Anglja i Włochy nie zechcą uznać żadnego księcia, po którym możnaby się spodziewać, że wydałby Bułgarję w ręce Rosji.

Paryż 8 marca. Izba przyjęła na porannem posiedzeniu jednomyślnie projekt utworzenia pięciu posad inspektorów generalnych armji francuskiej.

Rozprawa apelacyjna Wilsona odbędzie się dnia 19 bm.

Madryt 8 marca. Minister wojny podczas rozprawy w Izbie nad reformą armji wyraził się, że Hiszpanja powinna o tem jedynie myśleć, ażeby na wypadek konfliktu europejskiego zachowała ścisłą neutralność.

Konstantynopol 8 marca. Zawiadomienie, które Porta przesłała ambasadorom swoim o nocie dotyczącej Koburga, nie było opatrzone żadnym komentarzem.

Sofja 8 marca. Zdaje się, że rząd bułgarski nie będzie się spieszył o odpowiedzią na depeszę W. Wezyra, zawierającą oświadczenie co do nielegalnego stanowiska ks. Koburga. Rząd tutejszy oczekiwał takiego oświadczenia i udzielił Wulkowiczowi w Konstantynopolu na razie tymczasowej odpowiedzi. Depesza W. Wezyra nie wywołała tu żadnych trosk.

San Remo (w nocy z 7 na 8 marca). Następca tronu spędził dzień znowu dobrze, dłuższy czas bawił w ogrodzie, później na balkonie, apetyt dobry.

Konstantynopol 8 marca. Doniesienie *Reutera:* Stambułów nie odpowiedział jeszcze na telegram W. Wezyra. Według prywatnych wiadomości, Stambułow odpowie, że książę nie może opuścić Bułgarji z obawy powstać mogącej anarchji.

Berlin 8 marca. Wczoraj o pół do 8 godz. wieczorem odwiedzili cesarza ks. Wilhelm i cesarzowa. Wizyta trwała kwadrans. Według dzisiejszych doniesień cesarz spędził noc dość dobrze, przyjął nieco lekkiego pokarmu; stan w ogóle niezmieniony.

Petersburg 8 marca. *Journal de St. Pétersbourg* pisze: „Porta przez to, że wysłała do Sofji notę, uznającą nielegalność ks. Koburga, powzięła postanowienie odpowiadające jej prawom i obowiązkom. Gdy więc grunt traktatowy został w ten sposób umocniony, można się spodziewać, że logiczne następstwa nie dadzą na siebie czekać.

„Z tem wszystkiem po wyjeździe Koburga kwestja bułgarska stanie się jeszcze bardziej naglącą, gdyż będzie teraz szło o taką organizację Bułgarji, któraby posiadała silniejsze podwaliny prawne i była trwalszą od dotychczasowej. Mimo to jednak kwestja bułgarska nie wejdzie w fazę niebezpieczniejszą, gdyż powrót do stanu legalnego i do przepisów prawa międzynarodowego, niebezpiecznego charakteru mieć nie może".

Berlin 8 marca. Wyjazd następcy tronu z San Remo do Niemiec ma być rzeczą, która lada chwila nastąpi. Dnia jeszcze nie oznaczono. Ks. Henryk (drugi syn następcy tronu) miał już dzisiaj wyjechać z San Remo z powrotem do Berlina.

Ostatni biuletyn donosi, że cesarz spędził noc niespokojnie i czuje się bardzo osłabionym.

Dziennik ustaw państwowych i Zbiór ustaw publikują rozporządzenie cesarskie z 17 listopada 1887, którem zastępstwo cesarza i króla w sprawowaniu rządów poleconem zostało ks. Wilhelmowi.

Paryż 8 marca. Boulanger odwiedził wczoraj lyceum w Clermont Ferrand i wypowiedział mowę patrjotyczną, w której wezwał elewów do pracy dla ojczyzny, ażeby Francja odzyskała znowu pierwszorzędne stanowisko. — Boulangera witano serdecznemi okrzykami.

Nadesłane.

Z zbożowych targów.

8 marca:	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.— -6 75	6.——6.55	5.80—6 45	6.——6.60
Żyto	4 35 4.70	4.05—4.55	3.80—4.45	4.25—4.70
Jęczmień	3.80—6.—	4.——5 —	3.80—5.50	4.3 —5.65
Owies	4.30—4.70	4.10—4.50	3.75—4.50	3.50—3 85
Groch	5.— 9.50	4.——9.—	5.— 9.—	4.80 8.50
Wyka	4.50 5.—	3.85—4.50	3.75—4 35	4.10—4.80
Rzepak	9.50 10.—	9.— 10 —	9.— 9·75	9.—10.—
Lnianka	—.——.—	—.—— —	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	25.—40·—	22.—37.—	20.—.36—	22.—36.—
Konic. biała	40.—48.—	14 —36.—	20.—36.—	33.—46.—
Konic. szwed.	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.

Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 25—45 nominalnie.

Nowy chmiel od 25 do 45 złr. za 56 kilogramów.

Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco 24 25 do 24.75 **Wiedeń** 8 marca. Pszenica od 7·44 do 7·80 Żyto od 5 99 do 6 40. Okowita 26 $12\frac{1}{2}$ do 26·50.— **Berlin** 8 marca Pszenica 161 75 do 166·50 Żyto 119 25 do 124·75 Okowita 96·50 do 97·25 **Peszt** 8 marca. Pszenica 7·05 do 7·56 Żyto —·— do —·—. Okowita 24 75 do 25·—.

Lwów. Z Izby handlowej. 8 marca 1888.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	— —	194 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	— —	210 —
Banku hip. galic 200 zł. w. a.	— —	281 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic. 6 prc. w, n.	— —	— —
„ „ „ 5 „ „ „	96 50	98 —
„ „ „ 5 „ prem.	99 —	100 50
Banku krajowego 4½% w, a.	91 —	92 50
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	99 60	101 —
„ „ „ 4 „ „ „	— —	89 —
„ „ „ 4½% „ „	92 —	93 —
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	43 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	100 —	101 50
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I. em.	100 —	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	— —	105 —
„ „ „ 1883 4½% „	87 50	89 —
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	— —	19 —
„ „ Stanisławowa	— —	35 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.91	6.—
Dukat cesarski	5.93	6.03
Napoleondor	9.98	10.09
Półimperjał rosyjski	10.34	10.44
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	1·01—	1·03—
100 marek niemieckich	61.95	62.60—

Pociągi kolejowe

podług zegaru lwowskiego od dnia 20 paździer. 1887 roku

Do Lwowa przychodzą:	pociąg pospiesz.	Pociąg osobowy	Pociąg mięszany	Pociąg lokalny
Z Krakowa	**5.50**	**9.27**	11.35	**7.06**
„ Podwołoczysk . .	**10.24**	**3.05**	8.50	
„ „ na Podzamcze	**10.10**	**2.28**	3.19	
„ Czerniowiec . . .	**10·03**	**3.35**	5.30	
„ Stanisławowa . .	**6·36**	9.35	**9.29**	
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa . . .	**10.44**	**4.10**	4.50	8.10
„ Podwołoczysk . .	6.10	**10.25**	12.38	
„ „ z Podzamcza	6.22	**10.55**	1.08	
„ Czerniowiec . .	6·20	**11.06**	12 22	
„ Stanisławowa . .	9.34	**6.35**	**5.20**	

Do Lwowa przychodzą:

Z Husiatyna, przych. pociąg osobowy o g. 4 m. 35. Ze Stryja, Chyrowa przych. pociąg osobowy o g. 4 m. 35 i o godz. 8 m. 59.

Z Ławocznego, Chyrowa, Stanisławowa, Stryja i Husiatyna przychodzi pociąg osobowy o godz. **1 m. 35.**

35)

Krwawe ślady.

(Z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Zagadkowy ten telegram niezmiernie go zaciekawił, aczkolwiek w pierwszej chwili pomyślał, iż był to może tylko żart jakiś niesmaczny, bo czyż było rzeczą prawdopodobną, aby spotkał w tym bogatym pałacu na wytwornym balu obydnego łotra, który napadłszy na niego przy ulicy Taitbout, ograbił z pieniędzy. Chyba, że te sto tysięcy franków, jakie znajdowały się w pugilaresie, dały mu możność wmięszania się na czas jakiś w koło towarzyskie i odgrywania w niem pewnej roli, co przecież każdy przyzna, było czemś najnieprawdopodobniejszem.

Jednakże, ponieważ rana otrzymana dawno się już zabliźniła i siły powróciły, hrabia de Casèrte postanowił zastosować się do oryginalnego polecenia, przekonany zawczasu, iż szczególne przyrzeczenie zawarte w depeszy nie zostanie naturalnie ziszczonem.

Dobiegała druga godzina po północy, miał się rozpocząć kotylion, hrabia de Casèrte przeświadczony teraz, że widocznie ktoś zażartował sobie z niego, zwrócił się ku przedpokojowi z zamiarem powrócenia do domu, gdy w drzwiach salonu skrzyżował się z mężczyzną nizkiego wzrostu w przebraniu Mefistofelesa, nader starannie zamaskowanym.

Mefistofeles położył mu rękę na ramieniu, szepnąwszy cichutko te dwa słowa:

— Pozostań hrabio!

Hrabia de Casèrte stanął zdumiony i chciał zażądać objaśnień od nieznajomego, lecz ten już zniknął.

Neapolitańczyk niezmiernie zaintrygowany, zapragnął koniecznie dowiedzieć się, kto była owa tajemnicza osobistość. Powrócił więc do sali balowej, przeszedł wszystkie przyległe pokoje, Mefistofelesa przecież nigdzie nie znalazł.

Tańczono pierwszą figurę kotyliona z losowaniem, odbywającem się w ten sposób, iż młoda panna siedziała pośrodku koła otaczających ją tancerzy, którym porzednio rozdano maleńkie tabliczki z kości słoniowej i każdy z młodych ludzi wypisywał na takiej tabliczce swe nazwisko a następnie wrzucał ją do urny przyozdobionej kwiatami i wstążkami.

Panna siedząca w kole, zanurzywszy rączkę w urnę, wyciągała tabliczkę z nazwiskiem mającego z nią tańczyć młodzieńca.

— Margrabia de Valladorès! — przeczytała głośno panienka, siedząca w kole.

Gospodarz domu zbliżył się z uśmiechem wesołym, wyciągając rękę do objęcia kibici tancerki, lecz równocześnie obok niego stanął mężczyzna w ciemnym kostiumie inkwizytora i rzekł. do niego chłodno po hiszpańsku:

— Przepraszam, sądzę, że pomyliłeś się pan. Ja jestem margrabią de Valladorès.

I rzuciwszy maskę z twarzy, stanął z założonemi rękami naprzeciwko gospodarza, wpatrując się w niego nieruchomym wzrokiem.

Rycerz średniowieczny cofnął się jak gdyby ujrzał upiora przed sobą i blady wodził do koła obłąkanym wzrokiem.

XV.

Jedwabna Nitka i Lis, tak samo jak Bawoł na wszelkie pytania komisarza i Marcina Bidache nie odpowiadali ani słowa.

Nie chcieli wymienić uczestników bandy, ani wskazać herszta, lecz Bidache nie potrzebował ich objaśnień.

Po pogrzebie nieszczęsnego Grelicha, który się odbył w południe, Patryk i Bidache tego samego dnia wieczorem o godzinie ósmej, wyjechali do portu Lorient.

Stanąwszy na miejscu rano, udali się bezzwłocznie do hotelu Francuzkiego, gdzie mieszkał margrabia de Valladorès.

Bidache przesłał margrabiemu swą kartę wizytową, podpisawszy na niej: *Od pana Merentier.*

Młody Meksykanin kazał natychmiast wprowadzić przybyłych, sądząc, iż są to ajenci policyjni, których żądał.

Gdy Patryk i Bidache weszli do pokoju, margrabia odziany w kaszmirowy szlafrok, siedział w fotelu. Blada twarz jego świadczyła wymownie o cierpieniach przebytych przez ciąg tych długich miesięcy; na czole miał szeroką czerwoną jeszcze bliznę.

Margrabia wskazał im miejsca ruchem ręki, mówiąc:

— Wybaczcie panowie, ale trudno mi mówić po francusku.

— Może łatwiej wysławiasz się pan po angielsku? — zapytał Patryk.

— Tak, nieco łatwiej.

— Zatem mów pan po angielsku, a ja słowa twoje tłómaczyć będę memu towarzyszowi.

— Bardzo chętnie.

W ten sposób prowadziła się następująca rozmowa pomiędzy Marcinem Bidache a młodym cudzoziemcem za pośrednictwem Patryka, jako tłómacza.

— Wezwałeś nas pan, — mówił Bidache, — w celu poszukiwania łotra, którego zuchwałej napaści padłeś ofiarą przed ośmiu czy dziewięciu miesiącami...

— Tak, 6 czerwca ubiegłego roku.

— Pan Merentier opowiadał nam szczegóły napadu. Sądzę jednakże, iż pan się mylisz, mniemając, jakoby twój napastnik znajdował się w Loriencie. My mamy mocne przekonanie, iż przebywa on w Paryżu.

— Z czego panowie to wnosicie?...

— Powiem to panu zaraz, wpierw przecież pozwól zadać sobie kilka zapytań.

— Jestem zupełnie do panów rozporządzenia.

— Zatem wyjechałeś pan z Vera-Cruz w początkach maja. Czy znałeś kogokolwiek z towarzyszów podróży?

— Nie... wszyscy współpodróżni byli mi nieznani.

— Czy podczas morskiej przeprawy zawiązałeś pan z kim bliższą znajomość?

— Jak pan wiesz, podczas tych długich podróży łatwo się zawiera znajomości. W kilka dni rozmawiałem z większą częścią jadących... naturalnie z tymi, którzy rozumieli po hiszpańsku.

— Któż to byli mianowicie?...

— Ach Boże! ale poczekaj pan, — rzekł margrabia, szukając w pamięci. — Był to stary hiszpański jenerał z żoną i córką, dwóch artystów z trupy francuskiej bawiącej w Meksyku, stara panna, angielka, która była nauczycielką w mojej ojczyźnie i powracała do Anglji, jakaś dama z Montevideo czy z Buenos Ayros zowiąca się San-Lucar i jej syn. Z tym ostatnim, który był prawie w moim wieku, przestawałem nieco bliżej, wieczorem grywaliśmy niekiedy w karty i nawet ta rozrywka drogo mnie kosztowała, gdyż przez cały czas podróży dziwnie mi szczęście nie służyło.

— Udzielałeś pan temu młodemu człowiekowi jakich objaśnień co do twych stosunków rodzinnych?

— Zdaje mi się, że mnie o to wypytywał. Powiedziałem mu więc, iż byłem sierotą, straciwszy ojca bardzo dawno, gdy byłem jeszcze dzieckiem, a matkę ubiegłego roku i że właśnie po jej śmierci, czując się tak smutnym i osamotnionym, powziąłem zamiar udania się do Francji i zwiedzenia Paryża, którego nie znałem. Że jeden z moich znajomych zaopatrzył mnie w listy polecające, przypominam sobie, że nawet kilka z nich mu czytałem.

— I on widział, iż owe listy znajdowały się w pugilaresie, który pan nosiłeś zawsze przy sobie? — zauważył Bidache.

— Tak... — odrzekł margrabia zdziwiony... — Wybacz pan, ale przecież nie podejrzywasz tego młodego człowieka...

Bidache pozostawiając to pytanie bez odpowiedzi, badał margrabiego dalej:

— A on czy mówił panu cokolwiek o swej rodzinie, o swem życiu?

— Nie... powiedział mi tylko, iż wiele podróżował, znał obiedwie części Ameryki, Hiszpanję, Francję, Anglję. W młodości przebywał długo na morzu i władał wprawnie kilkoma językami, słyszałem jak rozmawiał z Anglikami, Włochami, Francuzami...

— A z matką jego rozmawiałeś pan kiedy?

— Dosyć nawet często. Była to przecież kobieta zimna, sztywnie dumna, mniej też miałem dla niej sympatji aniżeli dla jej syna. Twarz jej przybierała czasami wyraz dziwnie ostry, a wzrok jej wywierał nawet na mnie niemiłe wrażenie.

— Teraz jedno jeszcze pytanie, jeżeli pan pozwolisz. Czy posiadasz pan w Paryżu kogokolwiek z krewnych tego samego nazwiska.

— Nie... z pewnością nie. Jestem ostatnim potomkiem mego rodu.

Marcin Bidache zamyślił się, a po chwili milczenia odezwał się znowu:

— Raniono pana w bok prawy?

— Tak, nieco wyżej żeber.

— Nie przypominasz pan sobie, czy morderca ugodził pana prawą, czy lewą ręką?

Valladores namyślał się parę minut.

— Lewą ręką mnie zranił, — odparł wreszcie, — prawą ściskał mnie za gardło, jak gdyby mnie chciał udusić, a zarazem zapewne dla przeszkodzenia, abym nie przyzywał pomocy.

— Nie uważałeś pan, iż ten San-Lucar, z którym pan zawarłeś znajomość na statku, czynił wszystko lewą ręką?

— Owszem uważałem... Pańskie zapytania wprawiają mię w dziwne pomieszanie... Zdajesz się pan sądzić... Ja jednak powtarzam panu, to rzecz niemożliwa.. Młody ten człowiek miał pozór nader łagodny... czynił też wrażenie kogoś wielce starannie wychowanego...

— Czujesz się pan dość silnym, aby odbyć podróż do Paryża? — zagadnął nagle Bidache, jak gdyby nie zwracał uwagi na poprzednie słowa margrabiego de Valladorès.

— Lekarze zalecają mi jeszcze tydzień zupełnego spokoju; dla tego właśnie pisałem do pana Merentier prosząc go o udanie się do prefektury policji, nie mogąc się osobiście zająć tą sprawą.

— Gdyby przecież koniecznie było potrzeba, mógłbyś pan wybrać się w drogę... naprzykład jutro rano?

— Myślę, że mógłbym. Ale w jakim celu pyta mnie pan o to?

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: W. Hodak.